

DROGA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

TREŚĆ NUMERU

K. Świt. RACHUNEK

SPRAWA OBRONY PAŃSTWA (ANKIETA):

II. POSEŁ A. — O ZADANIACH KOMISJI WOJENNEJ

III. PULK. — O MATERJALNO-FINANSOWYCH WYDAJENIACH OBRONY PAŃSTWA

IV. SENATOR — O PRZEMYSLE WOJENNYM.

F. Bierkiewicz: PRZYCZYNY OSTATNIEGO SPADKU MARKI POLSKIEJ I OCENA SRODKÓW ZARADCZYCH

Leon Wasilewski: ZADANIA POLSKIEJ POLITYKI NARODOWOŚCIOWEJ

Marjan Dzik: SPÓR O JAWORZYNĘ

Aleksander Babiański: PROCES BIAŁOSTOCKI A RUCH BIAŁORUSKI

Mieczysław Niedziałkowski: TROCHE DZIWACZNE NIEPOROZUMIENIE

P. H-Laskowski: RELIGJA WOLNEGO CZŁOWIEKA.

(*S.*): SZERMIERZE POLSCY NA KRESACH.

PRZEGLĄD

(*A. SK.*): Przegląd Polityczny.

Zagranica.

(*h.*) Polityka Czechosłowacji.

Wychowanie fizyczne:

(*M. R.*): Skąd wziąć pieniądze na budowę boisk sportowych.

Książki.

J. Kaden-Bandrowski: O „Generała Boreza”.

K. (L.-Krz.): Douglas Jerrold: Nauki małżeńskie p. Caudle.

(*K. L.-Krz.*): Albo komedja omyłek, albo poprostu komedja.

Rok I. (II) WARSZAWA, LIPIEC 1923 ROKU № 4. (10.)

XIV-1
164

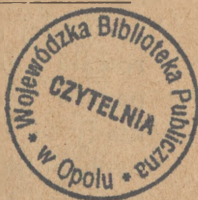
Kolekcja
Emilia Kornasia

ROK I. (II.) № 4. (10).

DROGA

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY SPRAWIE
ŻYCIA POLSKIEGO

WARSZAWA, LIPIEC 1923



K. ŚWIT.

RACHUNEK

Po rządach neutralnych politycznie przyszedł do władzy rząd wyraźnie prawicowy. Dotychczasowe gabinety nie prowadziły polityki lewicowej, ale też i nie przeciwstawiały się wyraźnie i zdecydowanie obozowi demokratycznemu w Polsce. Rządy spółki Witosza i N-Demokracji są porażką lewicy.

Byłoby rzeczą najgorszą, gdyby obóz demokracji sam nie uświadomił sobie, że spotkało go niepowodzenie. Można uważać dzisiejszą konstelację polityczną za chwilową i krótkotrwałą. Można żywić nadzieję, że majowe małżeństwo, które rozpoczęło swój żywot bez upożeń, bez jednego choćby miodowego miesiąca, rozleci się wskutek wewnętrznych swarów. Można, oceniając niepowodzenia nowego gabinetu, liczyć, że nie da on sobie rady z trudnościami i życie go zmiecie. Można spodziewać się nieuchronnej kompromitacji obecnego rządu. — Pozostaje fakt, że obóz demokratyczny nie okazał się na tyle silny, by uniemożliwić w Polsce dojście do władzy reakcji. Dzieje ostatnich czterech lat zdawały się stwierdzać zasadę, że w Polsce nie może rządzić ani prawica przeciw lewicy, ani lewica przeciw prawicy. Pokazało się, że jest inaczej. Rząd dzisiejszy w odniesieniu do izby poselskiej może być nazwany rządem centrowo-prawicowym. W swojej moralnej strukturze jest on jednak rządem reakcji, która dla względów ubocznych musi cierpieć czarną p. Witosza. Jeżeli lewica, upojona nadzieją rychłego upadku gabinetu, ograniczyłaby się do wypowiadania mów opozycyjnych, jeżeli bezwolnie czekać będzie na korzystne konstalacje, — to nawet wtedy, gdy te przewidywania się ziszczą, zwycięstwa mieć nie będzie.

Jest czasina „ra chunek sumienia” i na „mocne postanowienie poprawy”.

Zacznijmy od rachuku. Zmieniać życie polityczne można opinią, parlamentem, organizacjami społecznymi,—wreszcie fizyczną siłą.

Lewica w okresie niepodległości Polski miała w swym ręku możliwość działania metodami zbliżnionymi mniej lub bardziej do metod rewolucyjnych. Rozporządzała elementem ludzkim bardziej pohopnym i bardziej zdecydowanym, odważniejszym niż te sfery, na których zerowała i żeruje demagogia prawicowa. Po wojnie w całym szeregu państw rządy zostały ujęte przez czynniki społecznie radykalne. Przykłady te, chcąc czy niechcąc, działały na psychikę mas demokratycznych polskich i dawały im rozpęd. Obawa przed bolszewizmem była tak silna i tak powszechna, że jedno mocniejsze uderzenie pięścią w rozsypkę rzuciłoby wszystkich krzykliwych i hałaśliwych uczestników wieców zwoływanych wówczas przez N. D. przeciw rządowi Moraczewskiego. Jedna manifestacja robotnicza o bardziej zdecydowanym charakterze, a strach, by nie zaczął się bolszewizm, kazałby opinii endeckiej uznać rząd Moraczewskiego za zło wprowadzie, ale za zło jeszcze najmniejsze. Gdyby lewica była tak niesumienną i tak patrzącą wyłącznie na interesy swego obozu, jak była nią prawica, mogła była śmiało puścić nieco fale bolszewizujące i uczynić potem swoje rządy, jako rządy centrum, koniecznością.

Jest i będzie to zasługą historyczną Piłsudskiego i lewicy, że w pierwszych chwilach tworzenia się państwa, że w momencie, w którym Polska musiała zdobywać granice, w którym jawną, lub półjawną wojnę musiała prowadzić na wszystkich frontach, oba te czynniki zrobiły wszystko, by do ruchów rewolucyjnych nie dopuścić. Rozpętanie wówczas wewnętrznej wojny i chaosu nie dałoby stworzyć ani jakiej takiej organizacji państwa, ani wojska. Lewica oddała wówczas państwu olbrzymie usługi, ale w grze ze swoim wewnętrznym przeciwnikiem wyzbyła się jednego argumentu, który działał,—atutu strachu. Odtąd prawica poczęła szantażować, licząc na państwowy instytut lewicy. Odtąd ona poczęła myśleć, o używaniu siły fizycznej o zamachach. Obóz demokratyczny Polski miał obowiązek podczas wojny być „kontrewolucyjnym”. Ten obowiązek kończył się dla niego po wojnie i w momentach potwornej prowokacji ze strony prawicy. Ale skutki pedagogji, poczętej z pobudek najbardziej obywatelskich, działały i w dniach grudniowych zeszłego roku — działały już wtedy niepotrzebnie. Wzmogły one tylko zuchwalstwo prawicy.

Nie widzieć dziś tego i nie liczyć się z psychozą prawicy, chcącej drogą siły zmienić dotychczasowe zasady życia politycznego, znaczyłoby to być ślepym.

Genezą tej psychozy jest zjawisko w Polsce bardzo ogólne. Naiwna popularność hasła „silnej ręki“, dyktatury, rojenia monarchistyczne — wszystko to ma swe źródło w chęci rozstrzygnięcia siłą problemów życia politycznego. Nie mnożenie się antagonizmów społecznych jest podkładem dla tej tendencji. Źródło jest psychologiczne. Przez sto dwadzieścia pięć lat niewoli społeczeństwo polskie nie mogło dokonać próby sił swoich wewnętrznych obozów. Przewaga tej lub innej warstwy mogła być zawsze tłumaczona jako wynik protekcji rządów zaborczych. W Polsce niepodległej dwa razy wybierano posłów i dwa razy wynik wyborów nie dał przewagi żadnej stronie. Po spisaniu paktów endecko - witosowych prasa prawicowa usiłowała wywołać nastroje radości i ulgi, że jest już czyjaś większość. Usiłowania te zostały bez rezultatu. Ta większość, która musi cierpieć jako swego kontrahenta chłop bez krawatki, nie daje opinii prawicowej żadnej satysfakcji uczuciowej. Niema w Polsce poczucia, że próba sił została dokonana i że definitywne zwycięstwo stało się udziałem jednego z obozów. Pozostała niepewność — i chęć skończenia z nią wszelkimi sposobami.

Nie mamy najmniejszego zamiaru przeceniać realne siły prawicy zdolne do aktów przemocy. Lewica musi się jednak liczyć, że ma przeciwnika niepoczytalnego i niesumiennego. To dla lewicy mogą istnieć rozważania, czy wolno dziś rozpętać swoje żywioły bez jasno określonego planu w jakie łóżysko jutro się je skieruje. To lewica może mierzyć skrupulatnie swe siły i rachować, czy mogą one dziś dokonać istotnych zmian, czy tylko wywołać chaos. Tylko lewica zdolna jest do krytycznej oceny, jak w praktyce będą wyglądały „rządy silnej ręki“, gdy aparat państwowy dotychczas ani zmontowanym ani rozporządzalnym nie jest. Dla prawicy zastrzeżenia takie nie istnieją. Lewica musi przyjąć jako wytyczną orjentację, że nic nie powstrzyma rycerzy reakcji, głupoty i nieuczciwości. Musi być przygotowaną na prowokacje, by ani nie zaskoczyły ją one, ani nie pozostały bez dobitnej odpowiedzi.

Pięciolecie polskiego życia parlamentarnego jest kartą tak „dziwacznie, tak groteskowo pokreśloną, że odcyfrować z niej zasadnicze linje niepodobna. Brak większości sprawił, że obraz historii sejmu polskiego ma zamazane wszelkie kontury. Normalnie stronnictwa rządowe muszą zdawać egzamin z produktywności swej pracy na plenum i w komisjach, opozycja stara się zmusić większość do korektury jej zamierzań i używa trybuny parlamentarnej, jako środka oddziaływania na opinię. W polskim sejmie ten naturalny podział ról nie mógł się dokonać. Całe życie zostało wypełnione poszukiwaniem przy każdej sprawie większości, zawsze niepewnej, zawsze uzależnionej od kilku

głosów. Pogoń ta męczyła i demoralizowała posłów, w opinii wywoływała brak szacunku dla instytucji, w której przypadek decyduje o najważniejszych postanowieniach.

Dotychczasowa historia parlamentaryzmu polskiego dla nikogo nie będzie mistrzynią życia. Można jednak ustalić niektóre fakty, które mają pewne znaczenie dla przyszłości.

Lewica przy pierwszych wyborach poniosła klęskę. Grupa Witosza szła wtedy do urny w sojuszu z N. D. Zdawało się więc, że lewica od samego początku powinna była być skazaną na rolę opozycji. Tymczasem znaczenie lewicy w poprzednim sejmie było o wiele większe. Dlaczego? Pomogła jej walenie polityka i taktyka Piłsudskiego, o czym niektórzy członkowie lewicy chętnie zapominają. Pomogły jej błędy prawicy i wynikająca z nich ekskluzywność, która w praktyce była szkalowaniem ludzi, stronnictw, rządów, samego państwa, wszystkiego, co nie było zupełnie endeckie. Skorzystała wreszcie lewica z hasła reformy agrarnej, które zmuszało stronnictwo „Piasta” do głosowania z lewą stroną izby.

Był to moment, w którym można było zacząć myśleć o koncepcji rządu centrowo-lewicowego. Jeszcze bardziej stosowną chwilą dla tej myśli była druga połowa r. 1920. Gabinet Witosza i Daszyńskiego, przetrwał najcięższy okres inwazji bolszewickiej, sprawował rządy w czasie zwycięstw, decydujących o wojnie. Prawica ten rząd mimo jego koalicyjności zwalczała, wycofywała się z niego. Sama była swoim antypaństwowym zachowaniem się w chwilach, gdy bolszewicy byli pod Warszawą, skompromitowaną. Nad jej fochami i decyzją można było wówczas przejść do porządku dziennego. Gabinet Witosza i Daszyńskiego mógł jako centrowo-lewicowy trwać dalej. Upadł wskutek swej własnej moralnej niemocy. Czy pp. Witos i Rataj nie zerkali już wówczas w stronę prawą, to wychodzi poza zakres naszego artykułu. Obchodzi nas to, że i lewica ten gabinet kładła. P. P. S. mówiła wówczas o niemożności wchodzenia w skład rządu burżuazyjnego, a w istocie żyła, przesadną obawą, jak się nam zdaje, że wzięcie przez nią odpowiedzialności za rządzenie spowoduje odebranie jej przez komunistów wpływów na klasę robotniczą. W ciągu następnych lat P. P. S. zrewidowała wiele swoich dawnych zastrzeżeń. Ewolucja jej w kierunku stania się jednym z rządzących stronnictw przyszła jednak już wtedy, gdy ten „centrolew” był albo flirtem tylko, prowadzonym z coraz mniejszą wiarą, albo grą p. Witosza. „Wyzwolenie” w poprzednim sejmie nie chciało właściwie rządów centrowo-lewicowych. Powód leżał w ostrości antagonizmu do grupy „Piasta”. Ale nie chcąc znaleźć się przy jednym stole z Witosem wdawało się jednak, tak lub inaczej w rozmowy o „centrolewie”. Wyraz zaś swoim tendencjom dawało

w krokach, które robiły wrażenie kroków nieoczekiwanych. Skutek był ten, że zamiast dowodzić nieszczerości Witosa, dawano mu preteksty, że to nie on psuje robotę, lecz „Wyzwolenie“.

Przy zmienionej gruntownie od dwóch miesięcy sytuacji parlamentarnej wiele usiłowań, które dotychczas składały się na dzieje kulturalnych sejmowych, będzie nieaktualnych. Dla opozycji sejm stanie się ważnym jako trybuna. Spełni ona swoje zadanie tylko wtedy, gdy stronnictwa opozycyjne będą występować jednolicie i planowo. Walka istotna rozegra się poza izbą, na wsi. Rozłam w klubie „Piasta“ musi stać się rozłamem w stronnictwie, zwycięskim dla grupy Dąbskiego i Wyzwolenia. Wywoła to przesunięcie a może i rozkład w stronnictwie i w klubie Witosa.

Dotychczasowa historia sejmowa pozwala przewidywać, że ekskluzywność prawicy, z której dziś pozornie usiłuje się ona sama leczyć, nie ustanie. Prędzej czy później wybuchnie z nową siłą. Sytuacja wtedy zarysuje się ta sama, jaka była przez cztery lata. Ale wtedy nie mogą powtórzyć się i dotychczasowe błędy lewicy. Przyczyną kilkakrotnych poronień „centrolewu“ było prócz nieszczerości p. Witosa i hamletyzowanie lewicy: czy być rządem, czy opozycją. Te namysły u rosnących dróg muszą ustać. Jeżeli lewica przygotowuje się dziś moralnie do tego, że za każdy rząd, który nie będzie gabinetem reakcji, będzie musiała czuć się odpowiedzialną, to historycznie będzie to wyglądało wprawdzie jako *espri d'escalier*, ale lepsza ta decyzja późna niż żeby wogóle przez lewicę nie miała być powzięta. Hasło reformy agrarnej było jednym z istotnych powodów odosobnienia prawicy.

Lewica musi bronić codziennych interesów swego obozu. Bez haseł jednak ogólnych rozpęd lewicy będzie jak lot ptaka z połamanymi skrzydłami. Haseł nie wolno gubić, jak to się stało właśnie z reformą agrarną. Bez nich niema entuzjazmu, siły i przewagi moralnej. Gdyby lewica wydobyła z siebie dość wielką siłę charakteru, trudności arytmetyczne nie istniałyby dla niej. Drobnymi interesami dnia codziennego nie zdobywa się ani forum parlamentarnego ani wielkiej areny opinii publicznej.

* * *

Lewica nie zdobyła większości opinii w miastach. Opinia wsi decyduje w Polsce o wynikach wyborów, ale stałym narzędziem polityki nie jest. Działa wolniej i mniej bezpośrednio niż opinia miast.

Trudności na tem polu lewica ma wielkie. Jest to grunt jałowy swoją bezbrzeżną naiwnością polityczną. Liczebność żywołu żydowskiego daje pole demagogii, która ani kwestji żydowskiej nie załatwia, ani żadnego problemu nie może rozwiązać, sprowadzając wszystkie

ujemne zjawiska do intrygi żydowskiej. Stowarzyszenia i organizacje społeczne, żyjące u nas co prawda słabym i marnym życiem, znajdują się jednak w swej większości, zwłaszcza po miastach, w sferze opinii reakcyjnej.

Lewica cierpi na brak organów prasowych i środków materialnych.

Ale są to zjawiska wtórne. Gdyby lewica była wypracowała swój światopogląd polityczny, gdyby posiadała rozpęd, organy nie będące endeckimi, stałyby się popularyzatorami tych myśli, których sami redaktorowie poszukują, bo są one im niezbędne w ich codziennej pracy. Hasła nie zostały wydobyte.

Na jakiej płaszczyźnie należy ich szukać?

Problemy społeczne istnieją w Polsce tak samo, jak na całym świecie. Posiadają one dynamiczną siłę polityczną, stają się czynnikiem dominującym w momentach realizowania albo swego „minimalnego” albo swego „maksymalnego” programu. Rząd Moraczewskiego, co będzie drugą jego historyczną zasługą, zrealizował w znacznej części ten program minimalny. Warstwa robotnicza zyskała prawa, dzięki którym nie jest codziennie obrażana w swej godności i bita po twarzy. Defenzywna obrona tych praw, ani nawet praca nad ich rozszerzaniem w szczegółach nie wyczerpuje jednak życia. — Maksymalne programy albo doznały kompromitacji, jak w Rosji, albo przechodzą swój myślowy kryzys, jak jest dziś na całym zachodzie.

Czy dlatego że w obecnym momencie niema w świecie haseł ogólnych to i dla Polski zabrakło idei? Jeśli przez to pojęcie rozumiemy się szczegółowy prospekt na przyszłość, załatwiający wszystkie bolączki bez reszty — to taka idea niema, jak dotąd, wyraźnych konturów. Jeśli ideą nazwiemy myśl, która jest zdolna targnąć struny serc, uderzyć w akord entuzjazmu, napiąć wolę jak cięciwę — to ideę taką Polska w chwili dzisiejszej posiada.

Pomyślmy tylko. Iluż to ludzi, z ilu pokoleń, ile krwi gotowi byli sobie upuścić, by doczekać chwili, w której można budować państwo polskie według swej własnej woli. Przejdźcie ulicą, gdy oddział wojska przemaszerowuje i policzcie w ilu oczach łzy radosnego wzruszenia jeszcze dzisiaj świecą. Łzy te są zmarnowanymi perłami. Dziecięca radość z odzyskania Polski nie została zamienioną na męską wolę tworzenia państwa. Wiekomną hańbą dla prawicy będzie to, że dla egoistycznych swoich celów ten entuzjazm zgasła i utopiła go w podłym skomleniu małych i niskich skarg. Ludziom, którzy nie czuli zaduchu niewoli, nie rozparło piersi powietrze wolności.

Popatrzcie na człowieka, który doczekał się możliwości budowy

swego własnego domu, siania własnego swego ładu. Co za ideę ma on, że pracuje z drżeniem serca i napiętych mięśni? Pracuje, bo to jego, bo to kochane.

Lewica miała i ma to hasło budowania zrębów państwa. Obóz demokratyczny czuł tę myśl. Niedarmo tylu ludzi tego obozu uczestniczyło w walkach o niepodległość. Ale hasło to nie zostało prze-myślane konsekwentnie i do końca. Lewica musi się poczuć odpowiedzialną za całe życie państwa, za jego wewnętrzną, wojskową, skarbową i zagraniczną politykę. Lewica nie znajdzie w tym współzawodnika. Prawica ideę państwa zgubiła na swych własnych bagniskach i błotnych mokradłach.

SPRAWA OBRONY PAŃSTWA

(ANKIETA)

Zagajoną w numerze poprzednim przez Marszałka Piłsudskiego ankietę prowadzimy dalej, zamieszczając udzielone nam łaskawie tezy przewodniczącego Komisji wojskowej w b. Sejmie Ustawodawczym, szefa Korpusu kontrolerów, oraz b. kierownika Wydziału przemysłu wojennego M. S. Wojsk.

W numerze następnym umieścimy wywiady w kwestji organizacji armji stałej, planów operacyjnych, oraz przysposobienia powszechnych rezerw społecznych. (Red.).

II. POSEŁ A. ANUSZ — O ZADANIACH KOMISJI WOJSKOWEJ SEJMU.

— W czem widzi Pan Poseł główną rolę czynników sejmowych dla sprawy obrony państwa?

Jako przewodniczący komisji wojskowej byłego Sejmu Ustawodawczego miałem sposobność zdać sobie sprawę z owego powszechnego u nas nieprzygotowania do rozważania spraw wojska, o którym mówił w poprzednim numerze „Drogi” Marszałek Piłsudski. Łączy się z tem prawie zawsze tupet w rozprawianiu nad tą sprawą tak trudną i delikatną. W czasie wojny każdy uważa się za stratega, jak wobec Stańczyka z podwiązaną twarzą każdy przybierał rolę dentysty. Dla tego starałem się wówczas hamować czynniki sejmowe w uroszczeniach zbyt szczegółowego mieszania się do spraw wojska.

Uważam, że dziś takie stanowisko jest równie uzasadnione, a z pewnych względów nawet jeszcze bardziej niż wówczas. Komisja wojskowa sejmu i wogóle czynniki sejmowe nie powinny się zbyt szczegółowo i natarczywie wtrącać do szczegółów w zakresie organizacji wojska, spraw personalnych, spraw technicznych i t. p. Mają one jednak w stosunku do obrony państwa i wojska zadania pierwszorzędnej wagi. Wymienię tu najważniejsze.

Winny one czuwać nad państwową stroną sprawy, t. j. starać się, aby wojsko miało zapewnione warunki, które pozwolą mu jaknajlepiej spełnić to ogromne zadanie, jakie mu w życiu państwowym przypada. Winny troszczyć się o społeczno wychowawczą rolę wojska, t. j. czuwać nad tym, by ta druga szkoła powszechna, jaką jest wojsko, przez które wszyscy obywatele przejść muszą, wypuszczała ich ze swych szeregów jako lepszych obywateli niż byli w chwili, gdy doń wstępowali. Muszą dalej starać się o to, by potrzeby materialne wojska, oraz potrzeby materialne ewentalnej przyszłej wojny mogły być zaspokojone przez przemysł rodzimy. Wreszcie winny przestrzegać, by stworzone były w państwie takie warunki polityczne, narodowościowe, socjalne, które gwarantowałyby jaknajwiększą spójność narodu na wypadek wojny — i zabezpieczały tak armię jak i społeczeństwo przed wrogią propagandą, która w wojnach ostatnich wyrosła do znaczenia „nowego rodzaju broni”.

Jeżeli sejm i jego komisja wojskowa te zadania wysuną na plan pierwszy swej pracy i troski, spełnią ważną swą rolę pożytecznie dla państwa i sprawy jego obrony. Jeżeli nie potrafią nakreślić sobie wyraźnych dróg — a przez to samo i wyraźnych granic, mogą nawet przynosić szkodę. Tylko szkodliwym bowiem może być wtrącanie się dyletantów do spraw szczegółowych, które pozostawione być muszą fachowcom, tylko szkodliwym może być również* zbytne debatowanie nad detalami różnych zarządzeń i przygotowań, gdyż w zakresie spraw wojskowych na każdym kroku z natury rzeczy wymagana jest ścisła tajemnica.

— W jaki sposób — zdaniem Pana Posła — komisja wojskowa przyczynić się może do rozwoju i organizacji przemysłu wojennego?

— W społeczeństwie naszym jest dziś bardzo popularnym hasło „wolnej inicjatywy gospodarczej“. Niemożliwym jest jednak, by państwo jakiegokolwiek zrezygnowało z wpływania na przemysł. Niemożliwym to jest przede wszystkim ze względu na przygotowanie obrony. Konieczną jest z tego punktu widzenia planowość w dysponowaniu surowcem, siłą roboczą i t. d. Otóż komisja wojskowa sejmu powinna być tym czynnikiem, który reguluje pomoc rządową dla przemysłu uzależniając ją od spełnienia całego szeregu postulatów leżą-

cych w interesie obrony państwa. Winna ona przeciwdziałać tej ustalającej się u nas opinii, że dla przemysłu państwo jest tylko „stróżem nocnym“ broniącym przed kradzieżą lub rabunkiem, a pozatem jest dlań bezinteresownym rozdawcą subwencji i długoterminowych kredytów — w spadającej marce.

Odstrasżającym przykładem zaniedbań pod względem przystosowania przez państwo przemysłu do celów obrony jest Rosja w czasie wielkiej wojny. Posiada ona w najwyższym stopniu przyrodzone warunki zupełnej samowystarczalności pod tym względem, mimo to z chwilą gdy tylko wojna weszła w okres „wojny na przetrzymanie“ ona właśnie uległa pierwszej. Już przyczyną odwrotu w r. 1915 były braki w zaopatrywaniu i w uzbrojeniu — i jestem przekonany, że wtedy właśnie stworzone zostały te dyspozycje duchowe, które doprowadziły armję rosyjską do katastrofy w r. 1917.

— Co chciałby Pan Poseł powiedzieć o ustawach wojskowych znajdujących się w tej chwili na warsztacie sejmowym?

— Ustawa o powszechnym obowiązku służby wojskowej jest w tej chwili na ukończeniu. Jest to niejako konstytucja wojska — i mam wrażenie, że naogół uważać ją można za dobrą.

Równie zasadnicze znaczenie ma ustawa o naczelnych władzach wojskowych, której projekt niedawno został wniesiony i wywołuje tak zasadnicze różnice zdań. Aby ustawa taka była dobra musi ona zdecydować jasno o rozgraniczeniu kompetencyj naczelnych czynników wojskowych, oraz określać wyraźnie, kto jest obciążony odpowiedzialnością za przygotowania na wypadek wojny i za jej wynik. Wtedy tylko będzie ona dawać największe gwarancje celowego użycia siły zbrojnej w wojnie.

Pozatem ciągle spodziewamy się wniesienia ustawy o przysposobieniu rezerw społecznych, którą uważam za niezwykle ważną dla obrony państwa oraz dla ugruntowania pracy społeczno-wychowawczej nad upowszechnieniem gotowości obronnej narodu.

Opracowywana w komisji jest również ustawa o obowiązkach i prawach szeregowych, mająca—obok uchwalonej już ustawy o obowiązkach i prawach oficerów — wielką wagę dla wychowania wojska i jego kadry zawodowej.

III. PUŁK. GÓRECKI — O MATERJALNO-FINANSOWYCH WARTUNKACH OBRONY PAŃSTWA.

Mówiąc o obronie państwa musi się brać w rachubę z jednej strony poziom, na jakim znajduje się „morale“ armji — narodu, z drugiej zaś stan techniczno-materjałowego zaopatrzenia tejże armji.

Ta druga kwestja ma tym donioślejsze znaczenie, że wpływa ona w dużym stopniu na ducha i samopoczucie armji, a następnie łączy się bardzo ściśle z całokształtem ekonomiczno-finansowego życia państwa.

Bo sprawa zaspokojenia potrzeb, związanych z obroną państwa, jest identyczną ze sprawą jego zdolności finansowych.

Przygotowanie obrony państwa z punktu widzenia techniczno-materjalnego obejmuje:

- a) zaspokojenie potrzeb stałej armji pokojowej;
- b) przygotowanie zapasów mobilizacyjnych;
- c) przygotowanie i rozwój przemysłu wojennego, idący w kierunku dostosowania produkcji przemysłowej kraju do potrzeb wojny.

Jak wyglądają te sprawy u nas?

Co do stopnia zaspokojenia potrzeb armji pokojowej — to można go określić jako minimum niezbędne do tego, by armja mogła istnieć i spełniać swe zasadnicze zadanie, jakim jest szkolenie żołnierza.

Jako sprawdzian oceny tego stopnia może posłużyć stosunek, jaki zachodzi między potrzebami ogólnoludzkimi armji (tutaj należą: żywność, pobory, umundurowanie, opieka lekarska i t. p.), a potrzebami ściśle wojskowymi (i tutaj należą: uzbrojenie, wydatki techniczne itp.). Im większą część wydatków wojskowych przeznaczają się na potrzeby pierwszej kategorii, czyli mówiąc poprostu — im większą część swego budżetu armja „przejada”, tym mniejszą przedstawia ona wartość pod względem technicznym. Według, omawianej obecnie w sejmie ustawy skarbowej na rok 1923 wydatki na potrzeby ogólnoludzkie stanowią 53,46% ogólnych wydatków wojskowych. Wydatki na uzbrojenie stanowią 1/5, wydatki na lotnictwo niespełnia 1/4 sumy, potrzebnej na samo wyżywienie armji.

Stosunek ten dowodzi, że w zestawianiu potrzeb armji osiągnięto minimum, poza które wykroczyć byłoby niebezpiecznie dla jej normalnego rozwoju. Nadmienić wypada, że na zachodzie (Francja) potrzeby ogólnoludzkie armji stanowią zaledwie około 30% ogólnych wydatków wojskowych. A u nas były czasy, że armja „przejadała” 70% a nawet zgórą 80% swego budżetu.

Co do zapasów mobilizacyjnych, to należy sobie przedewszystkim uzmysłwić, jakim to materiałem wojennym prowadziliśmy i wygraliśmy wojnę.

Otóż przedewszystkim był to materiał bardzo różnorodny pod względem pochodzenia i systemu; i tak: z broni ręcznej mieliśmy karabiny niemieckie, austriackie, rosyjskie, francuskie, angielskie i meksykańskie; samolotów 240 rozmaitych marek — i tak samo w każdym dziale zaopatrzenia. Ta różnorodność materiału wojennego miała te ujemne strony, że utrudniała szkolenie, gdyż trzeba było zapoznawać

żołnierza z kilku systemami, a jeszcze w wyższym stopniu utrudniała dostarczanie amunicji i części zamiennych.

Lecz nietylko różnorodność materiału utrudniała pracę. Materiał ten—czy to przejęty po okupantach, czy zyskany ze stoków sprzymierzeńców — był materiałem w wysokim stopniu, w ciągu kilku lat wojny światowej, zużyтым.

To też materiał ten po przebyciu jeszcze wojny polsko-rosyjskiej był w takim stanie, że nie nadawał się do zdeponowania go jako nie-naruszalnej rezerwy zaopatrzenia, i dlatego tę rezerwę trzeba tworzyć *ab ovo*. A nie jest to rzeczą łatwą tak ze względu na sytuację finansową państwa, jak i na stan naszego przemysłu, który nie jest w stanie — i jeszcze prawdopodobnie przez długi czas nie będzie — zaspokoić wszystkich potrzeb armji. I w tym kierunku konieczną jest jeszcze bardzo długa i wytrwała praca, zanim osiągniemy tak konieczną w dziedzinie zaopatrzenia armji „samowystarczalność“.

* * *

Powiedziałem na wstępie, że kwestja materialnego zaopatrzenia armji łączy się bardzo ściśle z całokształtem ekonomiczno-finansowego życia państwa. Ze względu na duży stosunkowo udział armji w wydatkach ogólnie państwowych (u nas w roku 1923 wydatki wojskowe stanowiły 32% wydatków ogólnie państwowych) każde zachwianie realności budżetu odbijać się musi fatalnie na stopniu zaspokojenia potrzeb armji.

Bez silnego, zasobnego skarbu armja nigdy nie będzie w stanie pokryć swych wszystkich potrzeb. I dlatego „naprawa Skarbu Rzeczypospolitej“ jest równocześnie naprawą materialnego zaopatrzenia armji.

By jednak naprawa ta nastąpiła, potrzebne jest, by zaszły pewne zmiany w opinii, jaka daje się zauważyć w sprawach dotyczących armji.

Przedewszystkim potrzeba, by całe społeczeństwo doszło do przekonania, że wydatki na wojsko, na obronę państwa, nie są wydatkami nieprodukcyjnymi — lecz są inwestycją najbardziej rentowną, bo zmierzającą do utwierdzenia wolności i niepodległości. Następnie potrzeba, by całe społeczeństwo doszło do przekonania, że na rzecz skarbu polskiego trzeba ponosić przynajmniej te same ciężary, jakie się ponosiło na rzecz skarbu zaborców (płaciło się dotąd zaledwie $\frac{1}{4}$ a nawet $\frac{1}{5}$ tego); wreszcie potrzeba, by społeczeństwo nabrało przekonania do administracji wojskowej w tym kierunku, że te środki materialne, jakie daje do jej dyspozycji, będą użyte zgodnie z ich przeznaczeniem, celowo i oszczędnie.

I dopiero z chwilą, gdy sposób myślenia społeczeństwa ukształtuje się w sposób wyżej opisany, zaistnieją warunki fundowania zasobnego skarbu i silnego wojska.

IV. SENATOR JANUSZEWSKI O PRZEMYŚLE WOJENNYM.

Wielkiej wagi celowego zorganizowania przemysłu dla sprawy obrony państwa nigdy dość silnie podkreślić nie można. W Polsce bardziej jeszcze niż gdziekolwiek indziej. Nasze położenie geograficzne pomiędzy dwoma przewidywanymi przeciwnikami, przy szczupłym dostępie do morza i możliwości zupełnego niemal odcięcia komunikacji z sojusznikami, predystynuje Polskę do tego, by liczyła na zaspokajanie potrzeb w czasie wojny własnymi tylko wyrobami. Zasoby naturalne państwa dają nam warunki na stworzenie takiej samowystarczalności.

Stan obecny naszego przemysłu wojennego w stosunku do potrzeb na wypadek wojny jest jeszcze zupełnie niewystarczający. Posiadamy dopiero zaczątki przemysłu ściśle wojennego, tego który produkuje same narzędzia walki. Zaczątki te powstały w latach 1919 — 20 pod naporem konieczności dostarczania armji walczącej materiału. Są to jednostki fabryczne, wyrabiające amunicję karabinową i działową, materiały wybuchowe oraz karabiny same,—zorganizowano ponadto naprawnię sprzętu artyleryjskiego. Zakłady te nie są wystarczające nawet na zapotrzebowania pokojowe. W razie wojny jednak służyć już mogą za kadry dla rozbudowy zakładów potężnych. Znaczna ich część znajduje się w administracji wojskowej i jest zorganizowana na nowoczesnych zasadach przemysłowych. Instytucja jednak administrująca niemi (t. zw. Centralny Zarząd Wytwórni Wojskowych) nie posiada jeszcze dotąd osobowości prawnej.

Zapotrzebowanie wojenne zażąda od przemysłu wytwórczości specjalnego rodzaju, w ilościach wielkich, a niemożliwych do obliczenia ściślego, ponieważ zależą one od okoliczności i warunków przyszłej wojny. Obliczenie tych ilości możliwie ściśle na wszelkie ewentualności musi być zrobione już w czasie pokoju.

Ilość produktów wymaga stosownej ilości surowców. Otóż zapas własny surowców leżący w fabrykach starczy zaledwie na pierwszą chwilę. Później fabryki będą musiały sięgnąć do zapasów określonych, a przygotowanych za wczasu. Przygotowanie ich to pierwszy postulat planowego organizowania przemysłu wojennego; jest to t. zw. przygotowanie planu mobilizacyjnego surowca. Celowa gospodarkę surowcową państwo powinno tak prowadzić (i regulować w przemyśle prywatnym), by gromadzić potrzebne zapasy stopniowo, poczynając od surowców

najbardziej niezbędnych. Dla przykładu wymienię surowce takie jak koks, piryty, surowce azotowe, bawełna, względnie mogący ją zastępować len.

Podobnie rzecz ma się z produkcją. Na wypadek wojny cały przemysł, służący w czasie pokoju celom normalnej konsumpcji, będzie musiał być przystosowany do produkowania na potrzeby wojenne. I tu więc państwo musi wywierać swój wpływ, aby rozwijający się przemysł obejmował proporcjonalnie te działy, które w danej chwili dadzą się użyć do produkowania w dostatecznej ilości narzędzi walki. Czynić to musi stopniowo, poczynając od działów najbardziej niezbędnych. Dla przykładu: posiadamy już, jak wspomiałem, zaczątki kadrów fabrykacji broni, ale nie mamy jeszcze ani jednej fabryki samochodów i samolotów (motorów samolotowych), więc na tem polu nasz przemysł wojenny posiada jeszcze niezmiernie ważną lukę, do której wypełnienia dążyć winna polityka rządu.

To, co się nazywa mobilizacją przemysłową, obejmować musi cały przemysł, wszystkie jego gałęzie—nieraz z wojną nie mający napozór nic wspólnego. Każdy warsztat musi mieć oznaczone z góry zadanie na wypadek wojny, bo wszelkie fabryki i warsztaty dadzą się zamienić na zakłady produkujące przedmioty potrzebne dla celów wojny. Muszą być w tym celu za wczasu obmyślane zmiany techniczne, które zostaną w danej chwili zastosowane, oraz przygotowane maszyny potrzebne do wprowadzenia tych zmian.

Do planu mobilizacji przemysłowej należy również mobilizacja robotnicza t. j. planowe wyzyskanie fachowych sił robotniczych dla rozbudowy i przebudowy przemysłu na czas wojny. Na tę mobilizację szczególną wagę kładzie się skutkiem doświadczeń wielkiej wojny, w czasie której zbyt szablono we traktowanie fachowców jako rekrutów niejednokrotnie odbijało się ujemnie na całokształcie obrony.

We wszystkich tych poczynaniach, w całym tem obmyśleniu planowej rozbudowy, przemysł prywatny powinien być odpowiednio instruowany przez rząd, który powinien za pomocą planowego popierania potrzebnych gałęzi (a w tych gałęziach również i metod produkcji odpowiednich z punktu widzenia potrzeb obrony) wpływać na przemysł i wiązać go ze swą polityką obronną. Przemysł zaś ze swej strony powinien być przejęty ideą służenia obronie państwa. Wtedy nie tylko będzie on ulegał biernie naciskowi ze strony rządu, ale wnosić będzie w całość sprawy własną inicjatywę i wynalazczość. W ten sposób powstanie zbiorowy patriotyzm przemysłowy, do którego dziś tak nam daleko.

W wywodach powyższych naumyślnie położyłem wagę na dwie kwestje, których uświadomienie sobie przez społeczeństwo jest najpil-

niejsze. Pierwsza—to celowość rozbudowy przemysłu, tak, by w czasie wojny stać się on mógł jaknajbardziejym narzędziem obronnym. Druga—to przemysłowy plan mobilizacyjny, t. j. plan rozdania poszczególnym warsztatom robót, które podejmą na wypadek wojny. W obu tych rzeczach niezbędną jest nietylko planowa i celowa praca rządu, ale również na uświadomieniu oparte współdziałanie społeczeństwa.

Pominałem, rzecz jasna, wiele kwestyj, co wynika choćby z tego, że mówiłem wyłącznie o produkcji na potrzeby samej walki, a nie dotknąłem nawet sprawy produkcji na rzecz elementarnych potrzeb samego społeczeństwa, jego wyżywienia, odziania i t. p. w czasie wojny, co jest kwestją nie mniej ważną i najściślej związaną z walką samą. Pominałem również z konieczności szczupłych ram wywiadu kwestję tak kapitalną, jak rozmieszczenie geograficzne i geograficzny plan rozbudowy przemysłu wojennego, który godzić musi momenty strategiczne z przyrodniczymi, wpływa na układanie przemysłowego planu mobilizacyjnego, na dobór metod produkowania zależnych np. od łatwości dostania takiego czy też innego surowca w danej okolicy kraju—i t. d.

Na zakończenie dotknąć chcę jeszcze sprawy kierownictwa. U nas jest ono rozbite pomiędzy Min. Skarbu, Przemysłu i Handlu i Spraw Wojskowych, a pod pewnym względem nawet i Rolnictwa. Wynikają stąd trudności stworzenia instytucji rządowej, któraby ześrodkowywała studia, inicjatywę i kierownictwo przemysłowe z punktu widzenia obrony państwa. Instytucje takie istnieją już zagranicą, jak we Francji, Belgji, Hiszpanji. Jedynie taka instytucja zabezpieczyć może — mojem zdaniem — planowość i celowość pracy nad przemysłem wojennym.

F. BIERKIEWICZ

PRZYCZYNY OSTATNIEGO SPADKU MARKI POLSKIEJ I OCENA ŚRODKÓW ZARADCZYCH

1. Założenia teoretyczne.

Ostatni gwałtowny spadek marki polskiej wywołał zupełny chaos w poglądach na jego przyczyny i na środki zaradcze, jakie należałoby stosować. Nikt przeczyć nie będzie, że chaos ten jest zjawiskiem niebezpiecznym i że zatem wyjaśnienie gruntowne przyczyn ostatniego spadku jest rzeczą ze wszechmiar pożądaną. Wydaje mi się jednak,

że dla należytego wyjaśnienia tych przyczyn jest niezbędne uprzednie oderwanie się od obecnej rzeczywistości polskiej i przypomnienie sobie tych zasadniczych założeń, jakie zdobyła już nauka ekonomji politycznej.

W krajach posiadających walutę złotą wymieniałną niema miejsca na wahania kursowe. Jeżeli w konsekwencji ujemnego bilansu płatniczego podaż dewiz danego kraju na rynkach zagranicznych przewyższa popyt, wówczas ta nadwyżka podaży nad popytem wywołuje odpływ z kraju odpowiedniej ilości złota i kursy dewiz wracają do równowagi. Jeżeli bilans płatniczy kraju nie ujawnia poprawy i w związku z nim odpływ złota trwa dalej, następuje wówczas objaw t. zw. drożyzny pieniądza, wytwarza się różnica pomiędzy cenami zewnętrznymi, a wewnętrznymi, konsekwencją której jest polepszenie konjunktur eksportowych. Polepszenie to pociąga za sobą wzrost eksportu i napływ pociąganych nadzieją większego zysku kapitałów zagranicznych, a w związku z tem i powrotny dopływ złota do kraju. Złoto jest zatem automatycznym, precyzyjnym regulatorem kursów dewizowych. Jeżeli kraj posiada walutę papierową niewymieniałną na złoto, to w wypadku ujemnego bilansu płatniczego i przewagi podaży dewiz nad popytem na rynkach zagranicznych, następuje już odpływ odpowiedniej ilości waluty papierowej, na pokrycie wytworzonej różnicy. Jeżeli bilans płatniczy kraju nie ujawnia poprawy, wówczas odpływ waluty papierowej na pokrycie zobowiązań może spowodować obniżenie jej kursu.

Uchwyciliśmy zatem pierwszy czynnik możliwego spadku waluty papierowej: ujemny bilans płatniczy. Działanie tego czynnika nie jest jednak długotrwałe, gdyż jeżeli odpływ waluty zagranicę trwa przez czas dłuższy, w kraju wytwarza się drożyzna pieniądza i następuje polepszenie konjunktur eksportowych, które działa jak wyżej. Obniżenie kursu waluty papierowej może nie nastąpić wcale, jeżeli zagranicą trwać będzie zaufanie do zdolności płatniczej i gospodarki danego kraju. Może być ono natomiast większe od tego, jakie mogło by być, jeżeli z tych lub innych względów zaufanie to zostało poderwane. Przykładem może służyć korona czechosłowacka, kurs której w ciągu 1920 r. mimo iż emisja była przerwana, a bilans handlowy był wybitnie dodatni — spadał wyłącznie dzięki obawom, jakie żywiła zagranica w związku z silnym wzmożeniem ruchu komunistycznego w tym kraju. W pierwszej połowie 1923 r. spadał również kurs franka francuskiego i belgijskiego. I ten spadek był konsekwencją czynników psychologicznych, a mianowicie pesymizmu co do zwrotu przez Niemcy należnych odszkodowań i obaw co do zwrotu zaciąganych na rachunek tych odszkodowań pożyczek wewnętrznych, służących na pokrycie deficytów

budżetowych obu państw. *Uchwyciliśmy zatem drugi czynnik możliwego spadku waluty papierowej, czynnik natury psychicznej: brak zaufania.*

Jeżeli rząd kraju posiadającego walutę papierową, przy niezminionej ilości towarów i wszelkiego rodzaju walorów w obiegu, rozpoczyna emitować, t. j. wpuszczać w obieg nowe, coraz to większe ilości pieniędzy papierowych i naruszy w ten sposób równowagę pomiędzy ustaloną wartością towarów i walorów będących w obiegu, a odpowiadającą im ilością pieniędzy, wówczas wartość zwiększonej ilości pieniędzy będzie dostosowywać się do wartości towarów i walorów w obiegu, czyli kurs pieniądza papierowego będzie spadać. Dodatni charakter bilansu płatniczego, oraz zaufanie zagranicy mogą spadek tego kursu hamować, ale na dłuższą metę nie są go w stanie powstrzymać. Odwrotnie. Ujemny bilans płatniczy i brak zaufania w kraju i zagranicy oddziaływać będą w kierunku przyspieszenia spadku kursu pieniądza. *Uchwyciliśmy zatem trzeci i najważniejszy czynnik możliwego spadku waluty papierowej: emisję pieniądza.*

Emisja jako taka nie zawsze wywołuje jednak spadek kursu pieniądza. Jeżeli jednocześnie z nią będzie wzrastać produkcja krajowa, a w związku z tem rosnać będzie także ilość towarów i walorów będących w obiegu, wówczas ujemny wpływ emisji może się nie pojawić. Odwrotnie. Zmniejszenie produkcji, a tem samem i ilości towarów i walorów będących w obiegu oddziaływać będzie zawsze w kierunku wzmocnienia tempa spadku pieniądza. *Uchwyciliśmy zatem czwarty czynnik możliwego spadku waluty papierowej: zmniejszenie się produkcji.*

Jest rzeczą jasną i zrozumiałą, że przy oddziaływaniu tylu różnorodnych czynników wahania kursowe waluty papierowej nie będą nigdy równomierne. Nierównomierność tych wahań daje jednak pole do poważnych zysków; popycha zatem do gry spekulacyjnej. Do gry tej popycha zresztą i instynkt samozachowawczy, naturalna u każdego człowieka dążność do utrzymania swego poziomu życiowego. Doświadczenie nauczyło już najbardziej tępych i zakamieniałych ideowców, że utrzymując walutę papierową w okresie uprawiania przez rząd emisji ponosić będą straty i to straty niemałe. Zmusiło zatem ich do szukania sposobów zabezpieczenia się od strat. Od szukania zabezpieczenia swych oszczędności do szukania zysków przejście jest już bardzo łatwe. *Uchwyciliśmy zatem piąty czynnik możliwego spadku waluty papierowej, czynnik, który w poważniejszych rozmiarach ujawnia się tylko przy uprawianiu przez rząd emisji: spekulację.*

Rzeczywistość polska ujawniła jeszcze jeden czynnik związany wyłącznie z sytuacją geograficzno-gospodarczą i z umowami międzyna-

rodowemi, tyczącemi się naszego kraju: *zależność kursową marki polskiej od niemieckiej*. Działanie tego czynnika omówiliśmy już jednak w poprzednim naszym artykule: „Gdańsk, a nasza suwerenność gospodarcza“.

Ze wszystkich wskazanych wyżej czynników emisja a następnie i ujemny bilans płatniczy wywierają najsilniejszy, powiedziałbym decydujący wprost wpływ na wahania kursowe waluty papierowej. Wpływ pozostałych czynników przejawia się zazwyczaj tylko na tle uprawianej emisji, oraz w słabszych i bardziej krótkotrwałych formach—na tle ujemnego bilansu płatniczego.

Błędna polityka finansowa i gospodarcza rządów, wzmacniająca wpływ jednego ze wskazanych czynników, przyspieszać może niejednokrotnie proces deprecjacji pieniądza papierowego. Łatwość gry spekulacyjnej i oddziaływań na wahania kursowe walut papierowych, stwarza również podatny grunt dla świadomej akcji innych, nastrojonych wrogo do danego państwa rządów. Akcja ta wyrażać się może grą na zniżkę lub wyżkę pieniądza papierowego, idzie jednak z reguły zawsze w kierunku stwarzania jaknajsilniejszych wahań kursowych tego pieniądza, wahań, paraliżujących normalny rozwój gospodarczy kraju. Mielśmy ostatnio bardzo charakterystyczny przejaw walki walutowej niemiecko-francuskiej na tle okupacji Zagłębia Ruhry, a nie jest również wykluczone, iż świadoma akcja rządu niemieckiego przyczyniła się w pewnym stopniu i do ostatniego katastrofalnego spadku marki polskiej. *Z powyższego wynika że oba te czynniki (świadoma akcja innych rządów i błędna polityka własnego rządu) muszą być również brane pod uwagę przy analizowaniu wahań kursowych danej waluty papierowej.*

2. Fakty i wnioski.

Państwo Polskie powstało do życia w warunkach niesłychanie ciężkich. Gospodarczo kraj był zupełnie zrujnowany, produkcja stanowiła zaledwie drobny odsetek przedwojennej, zapasy wszelkiego rodzaju towarów były wyczerpane, a brak kapitałów uniemożliwiał odbudowę przy pomocy własnych środków. Odbudowa gospodarcza kraju mogła i *musiała* dokonywać się przy świadomej lub nieświadomej pomocy zagranicy. Świadoma pomoc wyrażała się w udzielaniu kredytów, przeznaczonych zresztą prawie wyłącznie na cele wojenne i na zakupy towarów masowego spożycia (mąka amerykańska, tłuszcze, mleko skondensowane, konserwy, materiały, obuwie i t. p.), nieświadoma, dostarczająca pośrednio środków dla odbudowy gospodarstwa narodowego, dokonywała się przez spekulacyjny wywóz za granicę marek polskich. W ten sposób zagranica dostarczała Polsce, nie-

zbędnych jej walut i dewiz obcych, otrzymując wzamian papierki, które spadały później do drobnego odsetka swej poprzedniej wartości. Dopokąd gospodarstwo krajowe nie zostało odbudowane w takim stopniu, by kraj przez wywóz mógł pokrywać niezbędny mu przywóz, dopokąd, jednym słowem, bilans handlowy, a tem samem i bilans płatniczy kraju *musiał być ujemnym, marka polska musiała opadać bez względu na charakter polityki finansowej rządów*. Przerwanie emisji w takich warunkach byłoby równoznaczne z zatamowaniem odbudowy kraju i pociągnęło by za sobą szereg ciężkich komplikacyj wewnętrznych. O przerwaniu emisji w ciągu lat 1918-20 można by było myśleć tylko w wypadku dostarczenia przez zagranicę niezbędnych dla odbudowy środków w postaci długoterminowych pożyczek zagranicznych.

W ciągu lat 1918-20 Polska prowadziła ciężką wojnę i konsolidowała swe granice. Jej aparat urzędniczy znajdował się w stadjum organizacji, a o racjonalnem wyzyskaniu szczupłych źródeł dochodowych nie mogło być mowy. W tych warunkach głównym środkiem zdobywania dochodów przez skarb państwa musiała być emisja. *Jedno-kierunkowe oddziaływanie emisji i ujemnego bilansu płatniczego musiało bardzo silnie spotęgować tempo spadku kursu marki polskiej*.

Granica Polski nie była uregulowana. Jej stan posiadania kwestjonowano zarówno na wschodzie jak i na zachodzie. Jej położenie geograficzne pomiędzy dwoma wrogimi państwami — Rosją i Niemcami i świadoma wroga agitacja czynników zainteresowanych, urabiała nam na zachodzie opinię państwa sezonowego. *Brak zaufania w trwałość państwa polskiego wzmacniał również tempo spadku marki polskiej*.

Nasze stosunki gospodarcze w tych latach miały charakter wybitnie jednostronny, mocą przyzwyczajenia przedwojennego, a również i dzięki niemożliwości zakupów towarów w państwach o zdrowej walucie, głównym rynkiem zakupu i zbytu towarów stały się Niemcy. Doprowadziło to w praktyce do stałego gromadzenia się w Niemczech olbrzymich ilości marek polskich, spadających w swym kursie wobec marki niemieckiej, z giełdy berlińskiej i gdańskiej stworzyło główne źródło zaopatrzenia się kraju w waluty obce pełno wartościowe. Kurs marki polskiej uzależnił się od kursu niemieckiej. Zależność tę wzmacniał fakt bezpośredniego zetknięcia się obu walut na terenach Gdańska, a później i Górnego Śląska. Każde wahnięcie w dół marki niemieckiej, powodowało w Niemczech, Gdańsku i Górnym Śląsku masowe wyzbywanie się marki polskiej w celu wymiany jej na waluty pełnowartościowe i pociągało tym samym za sobą i daleko silniejsze wahnięcie w dół marki polskiej.

W ciągu 1918-20 r. różnica wartości kursowej marki niemieckiej i polskiej stale wzrastała na niekorzyść marki polskiej. Deprecjację waluty polskiej w ciągu tych lat uznać musimy za objaw zupełnie naturalny i co najważniejsze — nieunikniony.

Patrząc na okres ten z perspektywy paru lat, stwierdzić możemy jeden zasadniczy błąd ówczesnych rządów; hamowanie przez nieodpowiednie zarządzenia w zakresie obrotu walutowego i handlu zewnętrznego odbudowy gospodarczej kraju. Popieranie tej odbudowy, chociażby poprzez chwilowe wzmacnianie tempa spadku marki polskiej, niewątpliwie przyspieszyło by okres dojścia gospodarstwa narodowego do normy przedwojennej, a tem samem i oddziaływanie wzrostu wywozu na kurs waluty.

W ciągu dwóch następnych lat 1921 — 22 sytuacja uległa niewątpliwie pewnej poprawie. Przedewszystkiem zawarty został pokój z Rosją Sowiecką i definitywnie ustalone granice na wschodzie. Jakkolwiek nie zostały jeszcze one w 1921 — 22 r. przez państwa zachodnie zaakceptowane, niemniej jednak sam fakt ten nie mógł nie oddziaływać na opinię społeczną zachodu. Wzmocnienie stanowiska politycznego Polski w Europie, dzięki nawiązaniu sojuszu z Francją, wreszcie plebiscyt na Górnym Śląsku i przyznanie najbardziej uprzemysłowionej jego części Polsce, wzmocniły jeszcze bardziej budzące się zaufanie w przyszłość naszego kraju. *Czynniki natury psychologicznej poraz pierwszy działać zaczęły w kierunku osłabienia tempa spadku marki polskiej.*

Układ pozostałych czynników był jednak wciąż niepomysłny. W ciągu trzech pierwszych kwartałów 1921 r. trwała nieprzerwanie emisja i to w rozmiarach bardzo wielkich. Pomimo, iż bilans handlowy uległ pewnej poprawie i wartość wywozu dochodziła już do połowy wartości przywozu, to jednak dzięki silnemu zmniejszeniu napływu przekazów dolarowych z Ameryki pod wpływem panującego tam kryzysu gospodarczego, oraz dzięki dodatkowemu silnemu zapotrzebowaniu rządu na waluty obce dla zakupu zboża i mąki amerykańskiej, bilans płatniczy ukształtował się bardzo niepomysłnie. W rezultacie oddziaływania tych dwóch najgłówniejszych czynników spadku każdej waluty papierowej — emisji i ujemnego bilansu płatniczego, oraz w rezultacie spekulacji, jaka się na tym tle rozwinęła, kurs marki polskiej zaczął spadać, aż do października w niesłychanie szybkim tempie i w miesiącu tym, pod wpływem zapowiedzi daniny majątkowej i przerwania emisji (okres Michalskiego) uległ silnemu załamaniu. Przerwanie emisji w ciągu 6-sci miesięcy urzędowania p. Michalskiego pozwoliło na utrzymanie kursu marki polskiej na jednym i tym samym mniej więcej poziomie. W ciągu tych sześciu miesięcy kurs marki polskiej oderwał się od kursu nie-

mieckiej. Różnica pomiędzy kursami obu walut w szybkim tempie malała.

Patrząc na ten okres z perspektywy doświadczeń całorocznych i nauki ekonomii, nie możemy stabilizacji marki polskiej w tym okresie uznać za zjawisko normalne. Produkcja krajowa nie doszła jeszcze do poziomu, umożliwiającego pokrywanie zapotrzebowania kraju na towary zagraniczne ze środków uzyskiwanych z eksportu. Wartość wywozu osiągała zaledwie połowy wartości przywozu. W jaki sposób pokrywana była różnica bilansu handlowego? Niewątpliwie z zapasów nagromadzonych w poprzednim okresie dzięki spekulacyjnemu wywozowi marek polskich zagranicę. Zapas ten jednak zaczął się już w końcu urzędowania p. Michalskiego wyraźnie wyczerpywać i według wszelkich danych mielibyśmy w 3-im kwartale 1922 r. ponowny spadek kursu marki polskiej nawet w tym wypadku, gdyby emisja nie została znów rozpoczęta. Pan Michalski popełnił jednak najfatalniejszy błąd z tych, które do czasu jego urzędowania były popełniane. Ograniczył się tylko do wyznaczenia i pobrania daniny. Stąd też po jej wyczerpaniu, a przed ustąpieniem p. Michalskiego, skarb państwa znalazł się w znacznie gorszym położeniu, od tego w jakim znajdował się przed objęciem przezeń teki Ministra Skarbu. Znalazł się wobec konieczności podjęcia emisji w znacznie większych od październikowych rozmiarach, przy braku wyczerpanych w poprzednim okresie zapasów walut i dewiz obcych, i jak zwykle, w każdym trzecim kwartale, — silnym ich zapotrzebowaniu na zakupy zagraniczne. Już te dwa czynniki — konieczność większej aniżeli poprzednio emisji i brak dewiz i walut obcych, musiałyby spowodować silniejszy od normalnego spadek kursu marki — bowiem zawierający w sobie jak gdyby i ten spadek, jaki winien był nastąpić w czasie urzędowania p. Michalskiego. Przejścia polityczne, jakie w tym okresie czasu miały miejsce (przesilenia rządowe, wybory do Sejmu, zabójstwo Prezydenta Narutowicza i t. p.) na proces deprecjacji marki polskiej niewątpliwie dodatnio nie oddziaływały. W kierunku przyspieszenia spadku marki polskiej oddziaływał silnie i odbywający się również w tym czasie poważny spadek marki niemieckiej.

W tych warunkach wpływ jedyne dodatniego czynnika, jakim było objęcie przez Polskę w posiadanie Górnego Śląska i uzyskanie w ten sposób dodatniego bilansu handlowego, nie mógł się od razu przejawić.

Przechodzimy do najbardziej nas interesującego okresu, okresu urzędowania p. Grabskiego najpierw jako Ministra Skarbu w gabinecie p. Sikorskiego, a później w gabinecie p. Witosa.

W okresie tym nastąpiło pewne przełamanie sytuacji. Pomyślny układ bilansu handlowego w ciągu ostatniego kwartału 1922 r. i pierw-

szego kwartału 1923 r. nie mógł na dłuższą metę nie ujawnić swego dodatniego wpływu, szczególnie w końcu stycznia, kiedy kurs walut obcych i cen towarów został tak wysoko wywindowany, że spowodował kryzys w przemyśle na tle braku środków obrotowych. Dalsze windowanie kursu walut obcych wobec stałego dopływu ich z zagranicy stawać się zaczęło dość ryzykownem. Wystąpił również na scenę i drugi czynnik, który działać zaczął w kierunku hamowania tempa spadku marki polskiej: czynnik natury psychologicznej: wzrost zaufania w przyszłość państwową Polski. W okresie rządów jen. Sikorskiego nastąpiło uznanie granic wschodnich Polski przez Ententę, wzrosło silnie nasze stanowisko mocarstwowe w Europie, wzmocnił się sojusz z Francją, poprawiły się znacznie stosunki z Anglią, nastąpiło uspokojenie wewnątrz kraju i t. p. Ale emisja trwała, bo... trwać musiała. Program p. Grabskiego—i to było jednym z większych jego błędów—zapowiadał początkowo osiągnięcie równowagi budżetowej dopiero w 1926 r.; sejm zwlekał z uchwaleniem nawet tych ustaw podatkowych, jakie zostały przez rząd wniesione. Nie było zatem realnych powodów do wyzybywania się walut pełnowartościowych przez tych, którzy mogli trzymać je przez czas dłuższy i traktować jako środek zabezpieczenia swych oszczędności.

Emisja nie przechodzi jednak nigdy bezkarnie. Stałe naruszenie równowagi pomiędzy wartością towarów i walorów, będących w obiegu a ilością pieniędzy papierowych, musiało powodować stały spadek wartości tych ostatnich, czyli wzrost drożyzny nominalnej, która wobec utrzymywania kursów walut obcych na jednym i tym samym mniej więcej poziomie była równoznaczna w tym wypadku i ze wzrostem drożyzny realnej. W konsekwencji tego procesu ceny wewnętrzne w Polsce przekroczyły poziom cen rynków państw konkurencyjnych. Eksport skurczył się, import zaś wzrósł bardzo poważnie. Ujawniły się pierwsze oznaki kryzysu przemysłowego na tle trudności zbytu towarów. Twierdzimy z całą stanowczością, mimo, iż odpowiednie dane statystyczne nie zostały jeszcze ogłoszone, że w kwietniu i maju b. r. bilans handlowy Polski był ujemny i że musiało zatem nastąpić stopniowe wyczerpanie tych zapasów walut obcych, jakie nie mogły być przez posiadaczy przetrzymywane dłuższy okres czasu. Akcja Ministerstwa Skarbu usiłując powstrzymać przez interwencje na giełdach naturalny proces deprecjonowania się pieniądza wskutek emisji, spowodowała wkrótce wyczerpanie i tych zapasów walut i dewiz obcych jakie znajdowały się w posiadaniu P. K. K. P. Skarb Państwa okazał się bezbronnym w momencie, kiedy Niemcy w poszukiwaniu walut obcych rzuciły na rynek gdański i warszawski zapasy marek polskich, nagromadzone w poprzednim okresie, w części na zakup

węgla górnośląskiego, w części (być może) dla świadomej akcji destrukcyjnej. Pozbawiona chwilowo zdolności do oporu, marka polska wciągniętą została wraz z marką niemiecką w wir spadkowy. Radykalne środki jakie, zastosował p. Grabski, były naogół konieczne. Fatalny związek marki polskiej z niemiecką mógł być bowiem już tylko radykalnymi środkami przerwany.

Tyle co do przyczyn ostatniego spadku marki polskiej. Nie mam złudzeń co do tego, że bardzo wielu mój sposób wyjaśniania nie będzie się podobał. Nie odpowiada on zupełnie typom ludzi wychowujących się na prasie kurjerkowo - dwugroszowej.

3. Zarządzenia i ich ocena.

Jako zarządzenia chybiające celu, lub szkodliwe, uznać musimy takie, któreby w skutkach swych wzmocniły wpływ jednego ze wskazanych w pierwszej części artykułu czynników spadku każdej waluty papierowej.

Do takich zaliczamy koncepcję ewolucyjnej sanacji budżetu skarbowego. Cóż bowiem znaczyła dla społeczeństwa, które przeżyło już szereg złudzeń i rozczarowań, zapowiedź, że równowaga budżetu państwowego będzie mogła być osiągniętą nie wcześniej, niż za 2—3 lata. Zapowiedź taka musiała być zrozumiana jako zapowiedź dalszego trwania emisji, a co za tem idzie i dalszego spadku marki polskiej. W swej istocie koncepcja była jakgdyby urzędowem ostrzeżeniem społeczeństwa przed marką polską, a w połączeniu z koncepcją złotego rachunkowego sankcjonowała zupełnie wyraźnie ucieczkę od marki polskiej.

Wprowadzając rachunki złotowe i wypuszczając skarbowe bony złotowe, rząd chciał dać ludności dogodny sposób przechowywania swych oszczędności i dodatkowe źródło dla pokrycia części deficytu skarbowego, nie wziął jednak pod uwagę, że dzięki tym rachunkom i bonom stworzy dodatkowy obiekt do spekulacji.

Pomysłem poronionym wydaje mi się również koncepcja podatku majątkowego. Jeżeli po trzech latach podatek ten trzeba będzie zastąpić innymi podatkami, nie rozumiem dlaczego nie można byłoby zamiany tej dokonać już dziś. Jeżeli ludność w ciągu trzech lat wytrzyma obciążenie z tytułu podatku majątkowego, a później sumy w tejsze wysokości będzie opłacać w innych formach, nie widzę dlaczego miałaby ona nie wytrzymać tych innych form już w bieżącym roku gospodarczym? Prostsze byłoby chyba i znacznie łatwiejsze do przeprowadzenia odpowiednie podwyższenie podatków bezpośrednich, aniżeli niesłychanie trudne ocenienie wartości majątków i niemniej trudne

i skomplikowane ich ściągnięcie (konieczność stworzenia specjalnego aparatu).

Przechodząc z kolei do oceny zarządzeń, wydanych w celu powstrzymania katastrofalnego spadku marki, uznać je musimy naogół za racjonalne. Dla uniknięcia na przyszłość takich katastrof jak ostatnia, państwo musiało wejść na drogę odbudowania swego zapasu walut i dewiz obcych w rozmiarach znacznie większych od tych, jakie dotychczas miały miejsce. Drogą do tego celu mogło być ograniczenie na pewien czas przywozu do minimum i uchwycenie walut obcych, osiąganych z wywozu. Koniecznem uzupełnieniem — zamknięcie dziur w Gdańsku i Katowicach, a przynajmniej utrudnienie spekulacyjnej gry na niżkę marki polskiej, uprawianej w tych miastach. Na tą drogę weszło Ministerstwo Skarbu. Życzyć by tylko należało, by sposób przeprowadzenia tych zarządzeń był jaknajmniej uciążliwy i nie hamujący eksportu. Życzyć by również należało, by niektóre z tych zarządzeń (np. komisja dewizowa) trwały tylko w ciągu okresu koniecznego dla zupełnego opanowania sytuacji. Nasz bowiem aparat urzędniczy, jak każdy zresztą aparat urzędniczy, jest bardzo ciężkim i próby regulowania przezeń życia gospodarczego mogą dla tego życia wydać nie dodatnie, lecz ujemne rezultaty. Zasadniczym jednak zarządzeniem, które uczyni wszelkie inne — bardziej karkołomne — zbytecznymi, będzie przerwanie emisji.

Pozwoli ono rozstać się niespostrzeżenie ze złotym rachunkowym, niezależni nas od marki niemieckiej i przyspieszy termin tak pożądanej, ostatecznej reformy walutowej. A zasadniczym warunkiem tej reformy może być tylko usunięcie deficytu budżetowego. Sposoby usunięcia tego deficytu są następujące: odpowiednie podniesienie podatków i opłat, przeprowadzenie oszczędności tam, gdzie je można przeprowadzić, uproszczenie administracji, zaciągnięcie pożyczki zagranicznej, jeżeliby się dało uzyskać ją na warunkach nie nazbyt uciążliwych — oto wszystko. Trzeba by było tylko obmyśleć poważnie środki w celu możliwie szybkiego wybrnięcia z kryzysu gospodarczego, jakie trwała stabilizacja marki niewątpliwie by pociągnęła.

Sądząc ze wszystkiego p. Grabski zrozumiał był już konieczność jaknajszybszego przerwania emisji i zdał sobie sprawę z ujemnych stron swych zarządzeń. Szkoda zatem wielka, że był zmuszony ustąpić. Jest bowiem jeszcze jedna prosta prawda: lepsza jest polityka nawet błędna, ale konsekwentna, aniżeli ciągle zmiany w polityce. Najlepszą zaś jest polityka, błędy której są naprawiane przez jej rzeczywistych twórców. Polityka p. Grabskiego ujawniła się już w tylu zarządzeniach, że *radykałne* zmiany mogłyby wydać odwrotne od oczekiwanych rezultaty. Taki jest już u nas dziwny układ stosunków, że najbardziej oba-

wiać się musimy nadmiernej oryginalności i twórczości myślowej kierowników naszego skarbu, którzy przy ciągłych zmianach na tym stanowisku zabagniają prostą sprawę sanacji naszego skarbu.

LEON WASILEWSKI

ZADANIA POLSKIEJ POLITYKI NARODOWOŚCIOWEJ

I.

Czy Polska dzisiejsza jest państwem narodowym czy też narodowościowym? Aby odpowiedzieć na to pytanie należy uciec się do porównania Polski z typowym państwem narodowościowym, jakim jest współczesna Czecho-Słowacja.

Ta ostatnia składa się z sześciu odrębnych obszarów o odmiennym charakterze narodowym: czeskiego, niemieckiego, słowackiego, madziarskiego, ukraińskiego i polskiego. Znaczna część terytorjów Czecho-Słowacji niema ze sobą nic wspólnego historycznie (np. Ruś Węgierska lub Słowaczyna z Czechami. (Czesi i Słowacy stanowią dwie odrębne narodowości o własnych językach i literaturach, a panująca narodowość czeska, stanowiąca właściwie mniejszość w tym sztucznym zlepku państwowym, tylko na czeskim obszarze stanowi zwartą masę, na innych spada do nieznacznego minimum (obszar niemiecki) lub świeci zupełną nieobecnością (Ruś węgierska, terytorjum madziarskie, Słowaczyna).

Otóż Polska współczesna przedstawia się całkiem inaczej. Wszystkie ziemie, wchodzące dziś w skład Rzeczypospolitej polskiej należały do niej od wieków, wskutek czego mniejszości polskie wyrzucone na dalekie kresy północne czy południowo-wschodnie czują się *u siebie*, bo siedzą tam z dziada pradziada i są w znacznej części rdzennie miejscowego pochodzenia. Następnie — żywioł polski na ziemiach obecnego państwa polskiego stanowi poważną większość. Dwie trzecie ludności państwa polskiego zalicza się do narodowości polskiej. Przeszło połowę obszaru jego zajmuje ludność polska, w zwartej masie osiadła. Reszta tego obszaru posiada wszędzie mniejszości polskie, niekiedy bardzo poważne (Małopolska Wschodnia) i prawie nie ma takiego zakątku, gdzieby Polacy nie stanowili znacznego procentu ludności.

Wszystkie powyższe czynniki stwierdzają, że Polska jest państwem narodowo-polskim, tymbardziej, że zostało ono utworzone wyłącznie na skutek zabiegów zbrojnych i dyplomatycznych samych Polaków. I ten fakt i przewaga liczebna żywiołu polskiego uzasadniają tę rolę, jaką Polacy w państwie polskiem odgrywać powinni.

Nie mniej jednakże granice Rzeczypospolitej, ustalone traktatami — wersalskim i ryskim, nie obejmują ani całego polskiego obszaru etnograficznego, ani ziem, wyłącznie przez większość polską zamieszkałych. Po za granicami Polski pozostały: Mazowsze Pruskie wraz z południową Warmją, połowa polskiego Górnego Śląska, znaczna część Cieszyńskiego oraz etnograficznie polskie skrawki na Słowacyzynie (Czacańskie, Orawa, Spisz). Jednocześnie granice Polski objęły terytorja białoruskie i ukraińskie o mniejszości polskiej. Nadto na obszarze polskim, jak również i na kresach, Polska posiada pewną liczbę ludności niepolskiej, stanowiącej mniejszość.

I to, że nie cały polski obszar etnograficzny znalazł się w obrębie Polski, i to, że Polska posiada mniejszości obconarodowe, nakazuje jej prowadzenie polityki narodowościowej.

Naturalne dążenie do tego, aby granice państwa objęły cały polski obszar narodowościowy, musi znaleźć ujście w umiejętnem wykorzystywaniu koniunktur międzynarodowych za pomocą odpowiednio stosowanych zabiegów polityki zagranicznej. Natomiast celowa polityka wewnętrzna musi spełniać zadania państwa wobec składających je żywiołów narodowościowych.

Na czem polegają te zadania?

II.

Państwowa polityka narodowościowa musi mieć na celu utrwalenie i wzmocnienie państwa za pomocą zadośćuczynienia potrzebom i interesom *wszystkich* odłamów ludności, a więc nie tylko przeważającej, państwowotwórczej narodowości polskiej, ale i mniejszości narodowych. Z programu wewnętrznej polityki narodowościowej z góry musi być usunięte wszystko, co zmierzałoby do prześladowania czy ograniczania praw tych mniejszości. Albowiem nigdy jeszcze ograniczenia i prześladowania nie wychodziły na dobre państwowi, które je stosowały. Przeciwnie, budziły one zawsze opór, pogłębiały niechęć i wzniecały nienawiść do państwa — prześladowcy. To też państwo powinno używać wszelkich środków, nie stojących w sprzeczności z interesami państwa, jako trwałej całości, by wzbudzić u mniejszości zaufanie i przywiązanie. Tylko przez wytworzenie poczucia, że danemu odładowi narodowości w danym państwie jest lepiej niż mu być mogło gdzieindziej, można zapobiec wytwarzaniu się szkodliwych dla państwa dążeń

odśrodkowych. A więc pełnia praw obywatelskich oraz uwzględnianie interesów ekonomicznych i kulturalnych mniejszości—oto program narodowościowy państwa, dbającego o normalny rozwój własny i swoją przyszłość.

Polska posiada mniejszości narodowe dwóch typów: *eksterytorjalne* i *terytorjalne*. Do pierwszego należą przede wszystkim Żydzi, rozrzućeni po całym obszarze państwa i stanowiący, zwłaszcza na wschodzie znaczne skupienie miejskie. Żydzi nie stanowią żywiołu narodowościowego w tym znaczeniu co inne mniejszości, jakkolwiek i wśród nich istnieją dążności w kierunku zupełnego wyodrębnienia się narodowego. Dążności te jednak skutkiem rozmaitych przyczyn nie mogą osiągnąć swego celu ostatecznego. Żydzi, zwłaszcza tam, gdzie procent ich jest mniej znaczny, stanowią element asymilujący się żywiołowo. Zadaniem państwa polskiego jest ułatwienie tego procesu bez stosowania środków przymusowych.

Do tego samego typu eksterytorjalnego należy i mniejszość niemiecka, występująca zwłaszcza licznie na kresach zachodnich oraz w postaci rozrzuconych prawie po całym państwie stosunkowo drobnych kolonij rolniczych. Na zachodzie żywioł ten, pamiętający jeszcze swe niedawne panowanie, jest stosunkowo bardzo odporny na wpływy polskie, nastrojony wobec nich wrogo i wskutek tego nie ulega asymilacji—przynajmniej na razie. Zmniejsza się on liczebnie raczej wskutek emigracji do Niemiec, nie mogąc się pogodzić z panowaniem polskim. Ale z czasem i on będzie ulegał asymilacji, tak jak się asymilują Niemcy, zwłaszcza po miastach, w b. Kongresówce i Małopolsce, nawet Wschodniej. Postępy polszczenia się Niemców zależą wyłącznie od stosowania do nich polityki całkowicie pozbawionej wszelkich szykan i prześladowań.

Mniejszości terytorjalne jakie Polska dziś posiada—to Białorusini i Ukraińcy.

Pierwsi z nich są szczepem o dość słabej indywidualności narodowej, o mało rozwiniętym poczuciu świadomości narodowej i dość jeszcze nikłym ruchu polityczno-narodowym. Dotychczas jeszcze Białorusini-katolicy ulegają polonizacji, zaś prawosławni wpływom rosyjskim. Niewątpliwie jednak ruch ten będzie wzrastał i zadaniem państwa polskiego jest dopomaganie Białorusinom w ich rozwoju kulturalno - narodowym przez odpowiednią politykę ekonomiczną i szkolną. Polityka polska powinna dążyć do tego, aby aspiracje niepodległościowe Białej Rusi jako całości szukały oparcia się o Polskę, a nie szły przeciwko Polsce, podsycane z zewnątrz. Jedynym zaś środkiem na to jest stworzenie w państwie polskim lepszych warunków rozwoju narodowego ruchu białoruskiego aniżeli te, jakie istnieją na Białej Rusi sowieckiej

lub w Rosji. Nie mając żadnego interesu w przeciwdziałaniu żywiołowemu polszczeniu się Białorusinów-katolików (tam gdzie ono jest rzeczywiście żywiołowem), polityka polska musi ze wszech sił przeciwdziałać rusyfikacji Białorusinów.

Co do Ukraińców, to ta część plemienia rusko-ukraińskiego, która znalazła się w obrębie państwa polskiego, nie stanowi historycznie i kulturalnie jednolitej masy. Ukraińcy Polesia i Grodzieńszczyzny stoją na jeszcze niższym poziomie świadomości narodowej niż Białorusini; pośrednie stanowisko zajmują Ukraińcy Wołynia: społeczeństwem świadomym pod względem narodowym są Ukraińcy Wschodniej Małopolski.

Kwestja ukraińska jest niewątpliwie bardziej skomplikowana i trudniejsza od białoruskiej wobec zupełnie już zdecydowanych tendencji niepodległościowych Ukrainy, wysokiego poziomu kultury narodowej ukraińskiej, istnienia sowieckiego (obecnie) państwa ukraińskiego i t. d. I tu koniecznem jest wytworzenie takich warunków dla ruchu ukraińskiego w Polsce, aby dążenia niepodległościowe całej Ukrainy szukały oparcia o Polskę. Czy autonomia terytorjalna ziem ukraińskich Polski będzie odpowiednim środkiem do tego, na razie trudno osądzić. Nie ulega jednak wątpliwości, że Ukraińcy, stojący na gruncie państwowości polskiej, wcześniej czy później ten program wysuną i Polska będzie się musiała z tem liczyć. Na razie nie jest on jeszcze aktualny i zadaniem polityki polskiej jest stworzenie warunków normalnego rozwoju kulturalnego życia ukraińskiego, zależnie od dojrzałości poszczególnych odłamów ludności ukraińskiej w Polsce. Warunki te będą inne na Polesiu, gdzie kwestja szkolnictwa elementarnego w języku ludowym znajduje się jeszcze pod znakiem zapytania, inne w Małopolsce Wschodniej, gdzie zupełnie aktualnem jest zagadnienie uniwersytetu ukraińskiego.

III.

Polska wewnętrzna polityka narodowościowa nie może jednak ograniczać się tylko ustosunkowaniem się do mniejszości. Zadaniem polskiej polityki wewnętrznej jest równocześnie wzmocnienie polskości państwa nie przez wynaradawianie środkami przymusu czy gwałtu mniejszości, lecz w drodze popierania rozwoju polskiej większości.

Albowiem im większy procent ludności polskiej będzie państwo polskie liczyło, tem bardziej będzie ono narodowo-polskiem, chociażby nawet mniejszości narodowe terytorjalne wzrastały w niem absolutnie.

Tu trzeba podkreślić fakt, że samo istnienie państwa polskiego, stworzonego przez Polaków, posiadającego przeważającą większość ludności polskiej, przyczynia się do wzrostu w niem polskości. Żywioł polski, jako państwowy *par excellence*, jest w Polsce tym czynnikiem,

który posiada największą siłę przyciągającą. Z tym żywiołem asymilują się wszystkie drobne mniejszości cudzoziemskie, rzucone w środowisko Polski, jako z żywiołem panującym i najsilniejszym kulturalnie. Dzieci rodzin mieszanych przyjmują język i narodowość żywiołu panującego. Do żywiołowej asymilacji elementów niepolskich przyczynia się rozpowszechnianie się języka polskiego jako urzędowego i potocznego w życiu publicznym. Wszystkie wielkie miasta w Polsce—Warszawa, Łwów, Kraków, Poznań, Wilno, Lublin, Łódź posiadają wielką przewagę ludności polskiej, wskutek czego rozwija się w nich żywiołowy procent asymilacyjny. Tą drogą część Żydów i Niemców, na wschodzie zaś Białorusinów-katolików (w Wilnie) i nawet Ukraińców (we Lwowie i w paru znaczniejszych miastach Małopolski Wschodniej) polszczy się stale. Z czasem asymilacja Białorusinów i Ukraińców ustanie, lecz pochłanianie przez żywioł polski cudzoziemców, Żydów i Niemców może się tylko wzmacniać.

Z utworzeniem się państwa polskiego rola żywiołu polskiego na wszystkich kresach odrazu się zmieniła. Z narodowości prześladowanej wynaradawianej gwałtem czy też wynaradawiającej się żywiołowo Polacy stali się narodowością panującą w państwie. Wobec tego germanizacja i Czechizacja na zachodzie, słowaczenie się na południu, rutenizacja na południowym i rusyfikacja na północnym wschodzie musi ustać. Państwo polskie i społeczeństwo polskie posiadają środki zaradcze, uniemożliwiające dalsze wynaradawianie się żywiołu polskiego, w postaci organizacji szkolnictwa polskiego na kresach, otoczenia kolonij polskich opieką kulturalną i ekonomiczną, prasą, teatrem i t. p.

Bardzo ważnym czynnikiem wzrostu polskości jest kolonizacja — oczywiście nie sztuczna, lecz czyniąca zadość naturalnej potrzebie ludności i licząca się ze wzrastającymi koniecznościami. Pod tym względem żywioł polski znajduje się w położeniu wyjątkowo korzystnym, uprzywilejowanym.

Przedewszystkim w Polsce niema miejsca na taką kolonizację, któraby uszczuplała polski „stan posiadania“. Granica państwowa broni skutecznie kresów zachodnich od kolonizacji niemieckiej czy czeskiej. Większa gęstość zaludnienia na zachodzie uniemożliwia zwrócenie kolonizacji białoruskiej czy ukraińskiej ku zachodowi, na teren polski etnograficznie. Tymczasem polski prąd kolonizacyjny musi się żywiołowo zwracać na wschód, gdzie na wielkich obszarach ludność jest bardzo rzadka. Odwieczne parcie żywiołu polskiego ku wschodowi, uniemożliwione lub utrudnione niesłuchanie przez politykę rosyjską, musi się odrodzić obecnie z wielką siłą. Obszary Polesia i sąsiednich terenów mogą zmieścić parę milionów ludności napływowej bez żadnej szkody dla ludności miejscowej, zwłaszcza gdy państwo uj-

nie w swe ręce stan polityki meljoracyjnej na tych ziemiach. Zadaniem państwa będzie tu baczenie, by ludność miejscowa nie była ukrzywdzona przy kolonizacji, i by kolonje polskie nie ulegały żywiołowemu wynarodawianiu się.

Drogą kolonizacji stale będzie wzrastał procent ludności polskiej na kresach zachodnich, a więc wzrośnie i waga ludności w całym państwie. Zwłaszcza że żywiol polski posiada znaczny rezerwuar zagranicą, z którego państwo może umiejętnie czerpać materiał kolonizatorski. W Ameryce Północnej, w Westfalji i Nadrenji, we Francji i w Belgji polska emigracja zarobkowa posiada i będzie miała dużo sił, dających się zastosować przy kolonizowaniu słabo zaludnionych obszarów wschodnich.

Obok polityki kolonizacyjnej państwo polskie dla celów wzmocnienia polskości kraju może wyzyskać odpowiednio stosowaną politykę emigracyjną. Polska musi dawać emigrację skutkiem swoich stórków ekonomicznych. Musi istnieć emigracja żydowska z miast, niemogących dostarczyć zarobku tak licznyim rzeszom drobnych handlarzy i rzemieślników. Musi istnieć emigracja zarobkowa, dopóki krajowe warsztaty pracy przemysłowej i rolnej nie mogą dawać zatrudnienia całemu ogółowi. Otóż zadaniem państwa polskiego jest ułatwienie emigracji przede wszystkim żywiołów nie polskich — Żydów, Niemców, Rosjan, i t. d.

Nasza granica wschodnia przeprowadzona przez środek białoruskiego obszaru etnograficznego ogromnie utrudnia rozwijanie się żywiołowego parcia kolonizatorskiego ludności białoruskiej i ukraińskiej na wschód, istniejącego, tak samo jak polskie parcie na wschód, od wieków. Ludność ukraińska w ciągu XVII — XIX wieków skolonizowała olbrzymie obszary na lewym brzegu Dniepru i nad Czarnym Morzem, niemal potrajjąc ukraiński obszar etnograficzny. W Rosji istniała olbrzymia emigracja ukraińska na Syberję. Uniemożliwienie przez politykę rosyjską i po części austrijacką emigracji z Galicji Wschodniej na wschód wywołało przed wojną nowe zjawisko — emigracji chłopów ukraińskich na stałe do Kanady. Nie jest wykluczone, że pewna część ludności wschodnich kresów Polski będzie w dalszym ciągu szukała wyjścia na wschód. Otóż zadaniem rządu polskiego jest ułatwienie tego procesu przez odpowiednie konwencje z Ukrainą, Białą-Rusią i Rosją.

Oczywiście, że polityka narodowościowa, której główne linje wytyczne usiłowałem nakreślić w artykule niniejszym, wymaga dokładnego opracowania jej planu we wszystkich szczegółach. Albowiem musi być ona obliczona nie na jedno dziesięciolecie i stać się programem nie tylko rządu, ale i wszystkich świadomych kół społeczeństwa.

MARJAN DZIK

SPÓR O JAWORZYNĘ

Podstawę sporu polsko - czeskiego stanowi parę faktów dokonanych, zarówno ważnych, jak i obowiązujących pod względem prawnopolitycznym.

Godzi się fakty te przypomnieć, skoro moźni tego świata zdobywając się na różne decyzje, nie mogą, czy też nie chcą kiwnąć głowami (tak! dzisiaj tylko kiwnąć głowami) w sprawie Jaworzyny.

Za rzecz ważną wolno nam uważać: 1) określenie w roku 1919 przez Radę Najwyższą spiskiego obszaru plebiscytowego.

W tym czasie Jaworzyna po raz pierwszy stała się przedmiotem sporu w znaczeniu prawnopolitycznym. Rzeczpospolita Polska domagała się przyłączenia do swego obszaru części północnej Żupaństwa spiskiego, leżącego na północ od pasma gór lewockich. Ta część Spisza jest najściślej związana pod względem geograficznym z całością ziem polskich, a poza tem na tej przestrzeni, obejmującej trzy powiaty: Kieżmark, Lubowlę i Starąwieś, przeważającą liczbę ludności stanowią Polacy¹⁾. Rada Najwyższa natomiast uznała za obszar sporny linję wododziału pomiędzy dorzeczem Białki a dorzeczem Popradu, a więc powiat Starowiejski i Jaworzynę, z powiatu Kieżmarskiego. Przez wyznaczenie granicy plebiscytowej na Spiszu sporność obszaru Jaworzyny została stwierdzona.

Nie jest również rzeczą błahą lecz owszem, obowiązującą: 2) decyzja Rady Ambasadorów z dnia 28 lipca 1920 r.

Rada ta wytyczając granicę polsko - czeską na Śląsku Cieszyńskim, Orawie i Spiszu, uznała możliwość zmian granicznych, gdyż instrukcja dana Komisji delimitacyjnej, a zawarta w decyzji Rady stwierdza wyraźnie (na stronie 4, artykuł II): „La Commission aura tout pouvoir pour proposer à la Conférence des Ambassadeurs les modifications qui lui paraîtraient justifiées par les intérêts des particuliers ou

¹⁾ Na podstawie badań uczonych czeskich (Szembery) i słowackich (Misiaka i Czambeli) na obszarze trzech powiatów Spisza znajduje się 50 wsi czysto polskich z liczbą ludności 28,319 (według spisu z r. 1910). Doliczyć należy Polaków z miasteczek i wsi niemieckich: Podolińca, Kieżmarku, Gniazd, Białej spiskiej, Lubicy, Toporca, Hołumnicy i Rakusów, co daje liczbę 8,000. Dodając Polaków z kilku wsi polsko - ruskich otrzymamy na obszarze trzech powiatów Spisza około 40 tysięcy Polaków.

des communautés dans le voisinage de la ligne frontière, et en tenant compte des circonstances locales spéciales“.

Polska delegacja graniczna opierała się na tej właśnie instrukcji, przedstawiając 16 marca 1921 r. Międzysojuszniczej komisji delimitacyjnej projekt zmian granicznych na Orawie i Spiszu, obejmujących także Jaworzynę. Projekt ten został przyjęty i sporność obszaru Jaworzyny stwierdzona, gdyż inaczej Komisja nie zezwoliłaby na włączenie Jaworzyny w obszar sporny, którego granice mogą ulec zmianie. Należy dodać, że wymieniona instrukcja Rady Ambasadorów głosi także: „Les décisions de cette Commission obligatoires pour les parties intéressés, seront prises à la majorité des voix, la voix du président étant prépondérante en cas de partage”. A komisja delimitacyjna polski projekt graniczny z Jaworzyną przyjęła do wiadomości jednoznacznie.

Na uwagę również zasługuje: 3) Deklaracja polskiej delegacji granicznej z dnia 28 kwietnia 1921 r., złożona Międzysojuszniczej Komisji delimitacyjnej w Morawskiej Ostrawie podczas głosowania na posiedzeniu plenarnym nad ostatecznym ustaleniem granicy cieszyńskiej. W deklaracji tej znajdujemy takie oświadczenie: „Polska wita z pewnym zadowoleniem fakt, że stało się możliwym przeprowadzenie zmiany granicy drogą porozumienia, zmiany koniecznej dla dobra ludności pogranicznej. Aby taką zmianę umożliwić Polska nie cofnęła się przed poważnymi ofiarami. Głosujemy za tą zmianą granicy pod tym warunkiem (reserve faite), że ten sam duch porozumienia będzie kierował dyskusją nad trzecim sektorem granicy, gdzie Polska liczy stanowczo, że uzyska drogą wymiany swą naturalną granicę w Jaworzynie, od której zależy istnienie ekonomiczne około 5-ciu gmin przyłączonego do Polski Spisza.“

Deklarację tę Komisja przyjęła do wiadomości i po zaprotokółowaniu odesłała do Rady Ambasadorów. Przewodniczący Komisji oświadczył, że projekt zmiany granicy na Spiszu odesła, po wizji lokalnej, do rozpatrzenia Rady (co też nastąpiło). Delegacja czeska wysłuchiwała deklaracji polskiej bez sprzeciwu. Znowu więc podkreślono sporność obszaru Jaworzyny, a doskonałym tej sporności dowodem jest to, że Rzeczpospolita Polska nie oglądając się na żądanie Międzysojuszniczej Komisji delimitacyjnej oraz Rządu czesko-słowackiego, uzależniła termin zajęcia nowonabytych przy ostatecznej regulacji granicy na Orawie obszarów od załatwienia sprawy Jaworzyny.

A wreszcie: 4) Aneks B. umowy polsko - czeskiej, po dziś dzień nieratyfikowanej, zawiera zobowiązanie załatwienia polubownego sprawy Jaworzyny w okresie sześciu miesięcy przez oba rządy, czyli stwierdza znowu spór o nią. Jakkolwiek strona czeska utrzymywała

z uporem, że granice Jaworzyny, które nosiły w roku 1914 charakter granic państwowych w myśl odpowiednich instrukcyj są nietykalne — zarówno Rada Ambasadorów, jak i jej Komisja delimitacyjna stały od 28 lipca 1920 roku na stanowisku odmiennem.

Krótkie przypomnienie podstaw prawno - politycznych sporu o Jaworzynę uważaliśmy za rzecz konieczną właśnie teraz, kiedy w pismach czeskich, opartych niewątpliwie o czeskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie tylko w sposób niedwuznaczny, ale zgoła niedyplomatyczny, bo napastliwy, powiedziano nam, że właściwie sporu żadnego... nie ma, gdyż Czechosłowacja nie uzna decyzji Rady Ambasadorów. Oczywiście nie uzna takiej decyzji, któraby nareszcie rozstrzygnęła spór jaworzyński na korzyść naszą. Gdyby Czesi mieli nadzieję, że Rada Ambasadorów odrzuci wszystkie racje polskie w sporze o Jaworzynę, a przyjmie za słuszne racje czeskie — wówczas otrąbiłoby z czeskiej strony spór za po wsze czasy załatwiony i poczętoby częstować nas jaknajserdeczniejszą przyjaźnią sąsiedzką.

Wydawałoby się mogło, że Rada Ambasadorów nareszcie zamierza potwierdzić uchwałę swoich rzeczoznawców z Międzysojuszniczej Komisji delimitacyjnej, którzy ustalili już kompromisową linię graniczną na Spiszu, przyznając nam Jaworzynę i że Czesi powiadomieni o tem, pragną głośno i bez ogródek wypowiedzianą groźbą zlekceważenia uchwały Rady powstrzymać ją od przychyłnej dla nas decyzji. Otóż — w takim na rzecz poglądzie prawda kryje się w jego połowie drugiej, gdyż stanowisko Rady Ambasadorów wobec sporu jaworzyńskiego może wzbudzić co najwyżej niepokój.

Zważmy, że Rada Ambasadorów przez dziewięć miesięcy nie potwierdza uchwały swej Komisji delimitacyjnej! I zważmy, że takie zwleknięcie z potwierdzeniem uchwał swych rzeczoznawców bynajmniej nie leży we zwyczajach świetnej Rady. Wystarczy przytoczyć dwa przykłady.

W drugiej połowie grudnia 1920 r. Międzysojusznicza Komisja delimitacyjna wysłała radzie swój projekt graniczny na Śląsku Cieszyńskim. W dniu 7 stycznia 1921 komisja otrzymuje potwierdzenie projektu. Rada Ambasadorów w ciągu trzech tygodni zbadała i rozważyła sprawę obejmującą prawie 100 klm. granicy i to takiej, która przynosiła ze sobą oprócz ważnych zagadnień ekonomicznych także i polityczne. Nie jest to szybkie, lecz błyskawiczne załatwienie sprawy. Projekt graniczny na Śląsku Cieszyńskim — to musimy dodać — nie uwzględniał w niczem żądań delegacji polskiej.

W kwietniu 1921 roku ustala Komisja delimitacyjna projekt granicy orawskiej. Po miesiącu następuje uchwała zatwierdzająca Rady. Gdybyśmy przykłady mnożyli moglibyśmy łatwo dość do wniosku, że

Rada Ambasadorów zatwierdzała szybko te uchwały Komisji delimitacyjnej, przeciw którym nie czynili żadnych zastrzeżeń delegaci czescy tej Komisji. Gdy jednak chodzi o uchwalenie naturalnej granicy na Spiszu, granicy korzystniejszej dla nas niż dla Czechów, ale jednocześnie słusznej, wówczas Rada Ambasadorów przez długie miesiące... medytuje.

Otóż z tą medytacją Rady nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych winno co rychłej skończyć. Kosztuje to nas zbyt drogo.

Z powodu uzależnienia należytego obsadzenia granicy cieszyńskiej i orawskiej od załatwienia sporu jaworzyńskiego granice Cieszyńskie i Orawy nie są dotąd przez nas ostatecznie zajęte. Dzięki temu niema mowy o normalnem życiu gospodarczem, gdyż nie może ono rozwijać się w nieustalonych warunkach. Skarb państwa ponosi olbrzymie straty z powodu przemytnictwa, które kwitnie wzdłuż całej granicy cieszyńskiej i orawskiej. Ludność pogranicznych wsi i miasteczek polskich bezradnie spogląda na stały wywóz żywności na stronę czeską i bliska jest zupełnej utraty wiary w powagę państwa. Co zaś do ludności Jaworzyny to ta — należy to wreszcie powiedzieć — do państwa polskiego jest usposobiona wrogo. Wiele tutaj zrobiła agitacja czeska, wiele również to niezrozumiałe dla ludności miejscowej zwleknięcie od lat definitywnego załatwienia sporu o ich przynależność państwową. Faktem jest stwierdzonym, że żaden mieszkaniec np. Jurgowa, nie sprzeda nikomu z Polski takiego nawet kawałka ziemi, na którym możnaby wybudować szałas letni.

Dalsze zwleknięcie decyzji Rady Ambasadorów jest rzeczą dla nas szkodliwą ze względów ekonomicznych i politycznych — nie mówiąc już o tem, że podobny bieg prac komisji delimitacyjnej jest nadal nie do pomyślenia. Komisja ta ustaliła w ciągu trzydziestu miesięcy 150 klm. granicy (Cieszyńskie i Orawa). Pozostaje do wytyczenia: odcinek Śląsk Cieszyński — Babia Góra o długości 90 klm.; odcinek Tatr (od Magóry Orawskiej do Rysów) — około 50 klm.; odcinek Spisza — 50 klm.; Leluchów—Przełęcz Dukielska, a więc długość 90 klm., Przełęcz Dukielska — Góra Halicz — 125 klm. i 150 klm. od Góry Halicz do granicy rumuńskiej. Prowadzenie prac delimitacyjnych w dotychczasowym tempie pozwoli je skończyć za lat 10.

A przecież Skarb państwa płaci za utrzymanie Międzysojuszniczej Komisji delimitacyjnej walutą zagraniczną!

Zdaje się nam, że i ten wzgląd powinien skłonić nasze M. S. Z. do energicznego wystąpienia w Radzie Ambasadorów w sprawie sporu o Jaworzynę.

Czas najwyższy! Rada Ambasadorów projekt swoich rzeczoznaw-

ców, tym razem wyjątkowy, bo przychylny dla nas miała chyba czas drobiazgowo przestudjować.

Rada Ambasadorów zwleka z decyzją dla względów politycznych, których... nie uznaje w sporach granicznych i te względy musi nasze M. S. Zagr. przezwyciężyć.

W tym całym sporze o Jaworzynie jedna rzecz jest pocieszająca, ta mianowicie, że nie leży we zwyczaju państw, reprezentowanych w Radzie, odrzucanie wyniku prac swoich rzeczoznawców.

Przedstawiciele Anglii, Włoch, Japonji w Konferencji Ambasadorów z pewnością nie zajmą innego stanowiska niż ich rzeczoznawcy w Komisji delimitacyjnej. Francja, życząca dobrze nie tylko Polsce, lecz i Czechosłowacji dążyć może będzie do jakiegoś kompromisu (który się już nie da stworzyć); z tem się liczyć należy, ale skoro spór o Jaworzynę wygraliśmy z nielada trudem w Międzysojuszniczej Komisji delimitacyjnej, wygramy go i w Radzie Ambasadorów byle sprawa weszła na porządek dzienny Konferencji.

Czesi zdają sobie z tego najwidoczniej sprawę.

Ich ostre, bezwzględne i powiedzmy szczerze, ordynarne ataki w prasie półurzędowej na Polskę i groźba, że decyzji Rady Ambasadorów nieprzychylniej dla Czechosłowacji nie uszanują — to nic innego jeno pewnego rodzaju szantaż polityczny wobec Rady, która jak dotąd, stanowczością się nie odznaczyła.

Nam jednak zgoda Rady Ambasadorów jest potrzebna. Po jej uzyskaniu Jaworzyna stanie się prawnie naszą, prawnie pod względem formalnym i nie pozostanie nam nic innego, jak tylko okupować ją we wzorowym porządku.

Dążeniem jednak Benesza, którego stanowisko podważa Kramarz oddawna, jest prawdopodobnie dalsza zwłoka i przerzucenie sporu z Rady Ambasadorów na teren Ligi Narodów, gdzie p. Benesz ma wpływy rozległe. Gdyby nasze M. S. Zagr. dopuściło do tego, byłoby to świadectwem jego nieudolności dyplomatycznej i zupełnej kompromitacji.

Pan Benesz, który za czasów ś. p. Narutowicza nie brał „czeskich“ tonów, teraz zaczyna je wydawać. A Benesz owijał dookoła swego małego palca Paderewskiego, Skirmunta i Piltza, — t. j. polityków tej samej wprawdzie metody, ale niewątpliwie większej miary niż pan Marjan Seyda.

ALEKSANDER BABIAŃSKI

PROCES BIAŁOSTOCKI A RUCH BIAŁORUSKI

Proces białoruski w Białymstoku posiada doniosłe znaczenie ze względu na to, że jest to pierwszy u nas większy proces na tle narodowościowym i stanowi wymowną ilustrację do stosunków we wschodniej części Polski. W prasie został on oświetlony tendencyjnie i nieomal zidentyfikowany z bandytyzmem, który bynajmniej nie stanowił jego części organicznej.

Spisek antypolski o charakterze narodowym białoruskim powstał w końcu 1921 r.; był wykryty już w końcu lutego 1922 r., a kierowników aresztowano 2 i 3 marca. Jeden ze spiskowców w pow. Bielskim, Herman Szymaniuk, przybyły z Moskwy aktor z teatru Zona, na swoją rękę utworzył bandę w puszczy Białowieskiej, która w kwietniu i maju dokonała szeregu zbójceckich napadów i mordów. Część zbójców skazana została sądem doraźnym, a kilku włączono do ostatniego procesu. W tym względzie sąd przychylił się do wywodów obrony, odłączając politycznych działaczy od zbójców, którzy też ukarani zostali li tylko za zbrodnie popolite bez charakteru politycznego.

O wiele ważniejszym jest jednak wyjaśnienie genezy takiego spisku, jego celów, dążeń i ideologii; będzie to jedna ze wskazówek w szukaniu dróg do rozwiązania zagadnienia nie przez procesy polityczne, które rozpętują i pogłębiają tylko antagonizmy i są najskuteczniejszą pobudką do dalszej agitacji antypaństwowej.

Ruch odrodzeniowy białoruski ma swoją historję mało u nas znaną. Zapoczątkowany jeszcze za czasów h. Uniwersytetu Wileńskiego, znacznie rozwinięty przed powstaniem 63 r. przez pisarzy i działaczy polskich, odrodzony w latach 1905 — 06 rozwinął się intensywnie podczas wojny i po wojnie. Koncentracja wielkich mas wojskowych na terenie Białej Rusi, podział jej przez linię frontową oraz rewolucja rosyjska 1917 r. spowodowały podniesienie uświadomienia narodowego o tyle, że we wrześniu tegoż roku zwołany został w Mińsku zjazd, czyli kongres białoruski; wyłonił on Białoruską Radę Narodową, która wraz z reprezentantami Białej Rusi Zachodniej, znajdującej się wtedy pod okupacją niemiecką ogłosiła dnia 24 i 25 marca 1918 r. Niezależną Republikę Białoruską z odpowiednim statutem. Okupacja niemiecka uwzględniała pewne postulaty Rady Białoruskiej w dziedzinie oświaty i kultury. Po zajęciu Mińska przez bolszewików Rada została zlikwidowana, a próbowała wznowić swoją działalność po zajęciu kraju przez nasze wojska.

Proklamacja Wodza Naczelnego po zajęciu Wilna ożywiła nadzie-

je, które urzeczywistniały się w postaci otwierania szkół, a nawet w stworzeniu komisji wojskowej i oddziałów wojskowych białoruskich. Inwazja bolszewicka przerwała te zaczątki. Po zakończeniu wojny zapanowała w Polsce pewna nieufność względem ruchu białoruskiego, a cały szereg szkół, seminarjum nauczycielskie w Borunach i organizacje współdzielcze zostały zamknięte ¹⁾).

Te szybko zmieniające się wypadki nie mogły pozostać bez wpływu na umysły ludności białoruskiej, a osobiście inteligencji, która boleśnie odczuła podział Białorusi przez traktat Ryski. Nieoficjalna delegacja białoruska w Rydze założyła protest przeciwko traktatowi, który został bez różnicy partyj i grup potwierdzony przez wszystkie organizacje i komitety białoruskie w kraju i zagranicą.

Ten stan rzeczy umożliwił przy współdziałaniu rządów litewskiego i czeskiego zorganizowanie zjazdu działaczy białoruskich w Pradze czeskiej w listopadzie 1921 roku. Zaznaczyć należy, że zjazd był finansowany przez rządy litewski i czeski, a dobór delegatów z góry uplanowany. Skutkiem tego na zjeździe mieli większość t. zw. „niepodległościowcy“ z grupy t. z. Rządu Łostowskiego w Kownie, a w mniejszości znaleźli się zwolennicy oparcia ruchu o Polskę, jak Dubiejkowki, Aleksiuk i inni. Ci pierwsi, którzy dzięki sposobowi zorganizowania zjazdu, mieli stanowczą przewagę, zdecydowali podjąć akcję czynną, skierowaną ku wywalczeniu i zjednoczeniu całej Białorusi.

Bezpośrednim wynikiem tego zjazdu było zapoczątkowanie spisku w Grodzieńszczyźnie, który był sądzony w Białymstoku. Spisek oparł się o wojskową organizację białoruską w Kownie, której przedstawicielem był w Mereczu na pograniczu litewskim Białorusin z Grodna, porucznik Rozumowicz, znany pod pseudonimem „Komendanta Chmary“. Stąd dostarczano pewną, jednak nieznaczoną ilość broni, pieniędzy oraz plany i instrukcje organizacyjne. Na czele organizacji stała nauczycielka ludowa, pozbawiona posady w szkole, Masłowska, entuzjastka ideowa, lecz niepraktyczna i niezdolna do konspiracji; pociągnęła ona grono swych krewnych i bliższych znajomych. Nie wyjaśnione zostało źródło pomocy materialnej; wywiadowcy przypuszczają, że szła ona z Niemiec, za pośrednictwem organizacji białoruskiej w Kownie. Lwia część sum została użyta osobiście przez dowódcę bandytów Szymaniuka-Skomorocho, który szantażował Chmarę a następnie zbiegł. Grupa organizacyjna składała się z 30 — 35 osób, które zostały postawione przed sąd, z nich 25 osób luźnie zamieszczonych w spisach

¹⁾ Częściowym powodem tych zarządzeń administracji były fakty, że w braku fachowych sił białoruskich tu i owdzie pod pokrywką białoruszczyzny szerzyła się rosyjska propaganda S-Rów (*Red.*).

zostało zwolnionych, 10 zaś skazano, w tej liczbie zaś posła do Sejmu Barana vel Baranowa. Wyrok ten nie jest jeszcze ostateczny i będzie rozpatrywany w sądzie apelacyjnym.

Lecz wyrok sądu nie wyczerpuje sprawy. O ile ideologia niepodległościowa Białorusinów jest raczej teoretyczna, o tyle sprawy kulturalno-oświatowe są realne a zupełnie u nas zapoznawane. Według ścisłych danych na terenie 17 powiatów województw Białostockiego i Nowogródzkiego istnieje tylko jedna państwowa szkoła powszechna białoruska w Grodnie, wszystkie zaś inne szkoły ludowe posiadają tylko ewentualnie wykład języka białoruskiego. Ostatnia gazeta białoruska w Wilnie niedawno uległa zawieszeniu.

Ten stan rzeczy rozgorycza inteligencję białoruską, której kadry jednak stale się zwiększają. Spolonizowanie jej jest zupełnie niewykonalnem. Prąd narodowościowy u odradzających się ludów jest bardzo silny. Może być mowa nie o wynarodowieniu, lecz o wspólnych łożyskach kulturalnych.

Wobec ruchu białoruskiego jest to moment zasadniczy, gdyż jest on obecnie na rozdrożu pomiędzy Wschodem a Zachodem. Cały nasz wysiłek winien być skierowany ku temu, aby naród białoruski pociągnąć do kultury Zachodniej. W tym właśnie celu winniśmy mu dopomagać, aby w granicach Polski ten ruch znalazł mocne oparcie i drogi rozwojowe przeciwstawiające się dążeniom ku Wschodowi.

Niebezpieczeństwo jest większe niż przypuszczamy. Białoruś Sowiecka jako twór polityczny jest bez znaczenia, gdyż podlega bezwzględnie władzy centralnej i ogranicza się do powiatów b. gub. Mińskiej. Lecz w samym Mińsku wytworzono szereg placówek kulturalno-oświatowych, na które bolszewicy dają pieniądze, słusznie widząc w nich ośrodek propagandy komunistycznej i antypolskiej. Istnieje tam uniwersytet na pół białoruski i teatr. Instytut kultury białoruskiej, szereg zakładów naukowych niższych i średnich, wychodzą w dużej ilości różne podręczniki szkolne, nawet w Berlinie. Wychodzi duży organ codzienny „Sowieckaja Białoruś”, w którym roi się od artykułów antypolskich i protestów przeciwko uciskowi na Białej Rusi. Do Instytutu kultury białoruskiej wchodzi najwybitniejsze siły białoruskie jakoto: Przewodniczący Niekraszewicz, członkowie: Losik, Bildziukiewicz, Łucewicz (Janko Kupała), Koław, Hromyko, Rodzewicz, Bajkow, Smolicz, Krutelewicz.

Instytut ten ogłosił 6 Maja 23 r. w № 99 „Białorusi Sowieckiej” protest przeciwko „pańskim” gwałtom, w którym mówi: „Kulturalny białoruski ruch żyje i potężnie szerzy się na ziemiach Sowieckiej Białej Rusi wśród pracujących mas białoruskich przy szerokiej pomocy rządu Sowieckiego, idzie w swym rozwoju wielkimi krokami naprzód,

wkrótce przerzuci się na Zachód i ogarnie całkowicie Zachodnią Białoruś“.

Rektor uniwersytetu w Mińsku wzywa młodzież białoruską do wstępowania do rodzimej uczelni. Niebezpieczeństwo to istnieje, nie możemy na nie zamykać oczu, trzeba nareszcie od słów i obietnic przejść do czynów i ich wykonania. Mamy po naszej stronie dwa czynniki, które mogą być wykorzystane. Pierwszy jest to ostateczne uznanie granic państwa, które w umysłach ludności kładzie kres tymczasowości i przy pewnej baczności unicestwia interwencję zagraniczną. Drugim jest legalne przedstawicielstwo białoruskie w Sejmie, które winno przeciwstawić się wszelkim nielegalnym organizacjom i ująć sprawę w swoje odpowiedzialne ręce. Naszem zadaniem jest pociągnąć klub białoruski do współpracy państwowej, a dalej podnieść jego autorytet i dać mu atuty, któremi będzie mógł zwalczać u siebie wrogów państwowości polskiej. Wszelkie niechęci, szykany powinny być raz na zawsze odrzucone. Jeszcze jest czas do wytknięcia dróg prostych, jasnych i szczerych ku zgodnemu współżyciu. Polska znalazła sposoby zasymilowania politycznego kresów w przeszłości; obecne zadanie jest szersze i większe: trzeba zasymilować ludy, powstające do życia. Jest to zadanie naszej demokracji, aby nareszcie urzeczywistnić hasło: „Wolni z wolnymi, równi z równymi“.

MIECZYŚŁAW NIEDZIAŁKOWSKI

TROCHĘ DZIWACZNE NIEPOROZUMIENIE

W zeszycie czerwcowym „Drogi“ p. Br. St. zamieścił dosyć cierpką krytykę działalności i stanu Polskiej Partji Socjalistycznej w okresie niepodległości kraju. P. Br. St. jest z nas wogóle niezadowolony, przytacza szereg konkretnych przykładów na poparcie swej ujemnej oceny, przykładów nie zawsze szczęśliwie dobranych, o skali bardzo szerokiej, poczynając od zarzutów podstawowych, iż wpadamy „ciągle w sen letargiczny“ (doprawdy?), przedstawiamy się pod względem organizacyjnym, „jako lotny piasek“ i t. p., a kończąc na pretensji z powodu... sprzedania filji Księgarni Robotniczej w Lublinie.

Nie należę bynajmniej do przeciwników krytyki ani do zwolenników urzędowego optymizmu według słynnej formuły czynowników rosyjskich „wsio obstoit błagopołuczno“, Wydaje mi się jednak, że wy-

wody p. Br. St. opierają swą główną przesłankę na nie tyle błędnym, ile zgoła oderwanym od rzeczywistości założeniu.

Pana Br. St. — niech mi będzie wybaczone to określenie — zaliczyłbym do „ludzi dnia wczorajszego”. Być może praktycznie daje on sobie radę z życiem współczesnym, psychicznie i teoretycznie w nim się gubi. Nie odróżnia rzeczy źle zrobionych od niemożliwych do wykonania. Chciałby ominąć przeszkody, nie próbując szukać dróg okólnych. Chciałby w ciągu pięciu lat niespełna dokonać dzieła, na które trzeba półwieku. Radby, ażeby i przywódcy i szeregowcy Partji zawczasu wszystko przewidzieli i przemyśleli. Wypatruje winowajców. Chwilami ma się wrażenie, że już, już dotknie którejś istotnej przyczyny pewnych niedomagań polskiego ruchu socjalistycznego, ale nie! znowuż jakiś szczegół wyrasta do rozmiarów olbrzymich, zakrywa całą perspektywę. Niestety, sam Br. St. niedostatecznie przemyślał własny artykuł.

Gdzież są winowajcy?

Przedewszystkim „niemrawość” organizacji; mamy tłum wyborców znacznie, znacznie mniej płacących składki. Zgoda. Ale niechże p. Br. St. przypomni sobie łaskawie, że od paru lat zaledwie organizujemy się jawnie w b. zaborze rosyjskim, podnosimy z gruzów wojennych w austriackim i pruskim. Krąg wyborców nie pokrywa się prawie nigdzie na świecie z kręgiem zorganizowanych. Gdybyśmy posiadali w Polsce 900.000 zorganizowanych socjalistów, liczba wyborców naszych sięgałaby kilku milionów, p. Br. St. mówiłby z tą samą skromną dozą słuszności o „lotnym piasku”. Odrobinę cierpliwości. Nie odrazu Kraków zbudowano.

Twierdzi dalej p. Br. St., że „niby” (dlaczego „niby”?) młode pokolenie socjalistyczne nie dorównywa „weteranom”. Jako „niby” młody (panie Br. St., dlaczego „niby“?!) przyznaje chętnie. Czy jednak istotnie jesteśmy wszyscy „miernotami na czołowych stanowiskach”, — śmiem wątpić. Gdyby p. Br. St. miał słuszność, sytuacja wyglądałaby rozpaczliwie. Na taki defekt organiczny nie pomogłaby żadna organizacja. A co do „wYROBIENIA politycznego” niechże Pan pozwoli „niby młodym”, by się stopniowo wyrabiali. I „weterani” kiedyś się wyrabiali.

P. Br. St. nie lubi „jałowych rozpraw”, i ja także ich nie znoszę. P. Br. St. kocha „czyn”. Owszem. Ale czyny bywają rozsądne i... nierozsądne. Ostatnie zazwyczaj wtedy, gdy ich nie poprzedza „analizowanie zagadnień”, choćby odległych. Zagadnienia pozornie odległe, Panie Br. St., stają się niekiedy w tempie piorunującym bardzo śliskimi, na przykład, w r. 1918, a wówczas p. Br. St. wyrzeka, że „przywódcy nie dość szybko”... przemyśleli. Mnie się wydaje, że t. zw.

rozpraw akademickich (nie zawsze jałowych, panie Br. St.) uprawiamy raczej mało. Myślenie teoretyczne — to nie luksus, to konieczność, a przykładem dowodnym nikt inny, jeno właśnie... sam p. Br. St.

Nasz sympatyczny a nieznany mi autor „Kilku uwag o P. P. S.“ nie rozumie mechanizmu nowoczesnego życia społecznego. Dlatego bez zająknięcia twierdzi zgoła ryzykownie, że wystarcza mieć dobrą organizację, by „się natrzasać“ nad silniejszym nawet przeciwnikiem. Och, nie, panie Br. St! Trzeba posiadać jeszcze sympatje w społeczeństwie. Mussolini nie zwyciężył *tylko* organizacją. Wyniosła go na szczyty fala ruchu masowego i... słabość przeciwnika. Tak, przyjacielu, siła każdej organizacji jest zawsze relatywną: mierzy się stanem umysłów dokoła i siłą wrogów.

To nie znaczy, rzecz jasna, że nie należy rozwijać i ulepszać organizacji. Przeciwnie. Bez niej także niewiele się robi. Ale... (niech Pan się nie gniewa, panie Br. St!) więcej „analizować zagadnień“, mniej tej pocziwej, miłej a jakże dalekiej od życia — *last non last* — praktyczności.

Nie mogę wyczerpać wszystkich myśli i przykładów p. Br. St. Zresztą sądzę, że czytelników „Drogi“ niezbyt interesuje, dlaczego sprzedaliśmy filję księgarni w Lublinie. Idzie mi o pewien morał wywodów powyższych.

Wiele osób nie umie znaleźć dla siebie miejsca w dzisiejszych formach ruchu robotniczego. Przyglądają się z boku, wyrzekają, pojękują. To koło źle nasmarowane; tamto skrzypi; inne się zahacza. I tracą perspektywę. Zrządzą: „sen letargiczny“, marazm, „miernoty“. Cała zaś istotna olbrzymia praca dokonywa się w ich oczach a jakgdyby poza plecami. Tak jest, panie Br. St., praca olbrzymia. Uczestniczy w niej poseł socjalistyczny, broniący dobrej ustawy, dziennikarz, piszący artykuł, daleki fernal z głuchej prowincji, który przeczytał z trudem pierwszą w życiu broszurkę o socjalizmie, dziewczyna wiejska, co nuci grabiąc siano skądś zasłyszana zwrotkę „Czerwonego Sztandaru“. A pan tego nie widzi, bo ktoś tam — słusznie czy niesłusznie — sprzedał filję księgarni w Lublinie.

Ja się nie boję pisać o brakach i wadach naszego ruchu. I bez cienia wstydu spoglądam na ubiegłe pięć lat. Wyszliśmy z trzech wręcz odmiennych środowisk walki narodowej i społecznej. Potrafiliśmy trzy psychologje, trzy typy organizacyjne zespolić w jedną zwartą Partję. Ocaliliśmy proletarjat polski przed krwawym zawrotem głowy komunizmu. Ocaliliśmy, jak przyznaje p. Br. St., w r. 1920 Polskę. Osiągnęliśmy dla klasy robotniczej pierwszorzędne zdobycze polityczne i społeczne. W epoce reakcji powszechnej podwoiliśmy niemal liczbę wyborców. Wypadki nieraz nas wyprzedzają? Zapewne. Wyprzedzały

często największych polityków historii. Nie wszystkie zagadnienia powojenne rozstrzygnęliśmy dotąd? Niewątpliwie. I nie wszystkie zdołamy rozstrzygnąć w najbliższych latach. Życie jest trudniejsze, niż się zrazu wydaje, panie Br. St.!

Nie, szanowny a nieznany przyjacielu, niewiele nowych pomysłów wniosły Twoje „Uwagi“ do skarbnicy naszych rozważań i doświadczeń. Włożyłeś ciemne okulary i palnąłeś do „braków“ w socjalizmie polskim, jakby myśliwy, który pali z armaty do much, kręcących się w słońcu. Kula poleciała, dokąd chciała, muchy kręcą się dalej. Może zresztą którą zabiłeś? Czy nie wystarczyłaby wszakże tradycyjna łapka?

A braki i wady prawdziwe naszego ruchu? Są, panie Br. St., są. Nie stworzyliśmy jeszcze ideału. Są potężne, tragiczne zagadnienia. Czy je przezwyciężymy? Ja wierzę w Socjalizm polski i wierzę w Partję.

A czy Pan, panie Br. St., nam w tym dopomoże? Radbym, aby tak było. Jenó trzeba zwinieć oręż. Z takiej zardzewiałej kolubryny nie daleko ustrzeli.

P. HULKA - LASKOWSKI

RELIGJA WOLNEGO CZŁOWIEKA

Męskie słowa artykułu Tadeusza Hołównki „Religia a nowa Polska“ napełniają radością i otuchą. Radością, że w sztuczny półmrok, wytwarzany przez różnych strażników religji i moralności pada jasny promień,—otuchą, że po tych niedolach, jakie zwały się na ducha polskiego wraz z wielką wojną, przychodzi wiew nowego życia. Dyskusja, która została zapoczątkowana przed wojną, zostaje podjęta na nowo i może nauczyć nas wielu rzeczy, których nie umieliśmy, nie znaliśmy, nie przeczuwaliśmy nawet. Dyskusja, o której mowa, zapoczątkowana została na bardzo długo przed wojną światową, bo jeszcze w czasach sławnej pamięci Jana Ostroroga, ożywiła się potężnie w wieku szesnastym, dając Polsce wspaniały wiek złoty, zamilkła w czasach saskich, to jest w czasach całkowitego zaćmienia Polski przez Rzym, ale ilekroć budziło się w Polsce nowe życie, tylekroć temat dyskusji powracał. Wyraził się jako śmiałość myśli w wieku oświecenia, buchał jasnym i wielkim płomieniem z dusz naszych Wielkich Emigrantów, a w czasach najnowszych cała Polska żywa w swych najszla-

chetniejszych i najmądrzejszych przedstawicielach nie przestawała powracać do wiecznie żywego i żywotnego tematu wolności ducha.

Wiekowa dyskusja toczyła się w Polsce między jasnym, mądrym Ormuzdem a ciemnym, nieoświeconym Ahrimaniem. Dusza narodu rozdawała się boleśnie, bo gdy jego część najlepsza i najszlaczetniejsza, czcząc wolność, realizowała ją jak umiała, przedstawiciele potęgi obcej i narodowi wrogiej, przychodzili, aby krzewić niewolę i potęgować słabość. Podczas gdy najwięksi synowie Polski całem jestestwem swoim zdawali się wołać: Polska dla Ideału! — kler rzymski i wszyscy jego zwolennicy mieli program równie króciutki i jasny: Polska dla Rzymu! Spór o duszę polską toczył się i toczy z bardzo zmiennym szczęściem. Chwila obecna nie uspasabia do optymizmu. Mroki gęstnieją nad całą Polską i nie widać tych ludzi wolnych, którzy gotowi byliby rzucać się w mroki z zapalonemi pochodniami myśli twórczej i tworzącej, aby przedewszystkiem wyzwolić sumienie człowieka pętane w Polsce przez Rzym od szeregu stuleci.

Rzym nie zna wolności i nie uzna jej nigdy. On jeden uważa się za autorytet najwyższy i podporządkuje sobie zawsze wszystko, co mu się podporządkować da. Największy wychowanek Rzymu, Piotr Skarga, będzie nauczał naród, że naprzód trzeba bronić ojczyzny niebieskiej, czyli supremacji Rzymu nad sobą, a potem dopiero myśleć o ojczyźnie ziemskiej, bo „jeśli ziemską ojczyznę zginie, przy niebieskiej się ostoim“. Po stuleciach doszedł do zgola innych wniosków poeta polski, Seweryn Goszczyński, powiadając, że nie można być zarazem dobrym Polakiem i dobrym katolikiem, bo katolik zawsze każe Polakowi ustąpić. Przypomnijmy sobie tylko korespondencję Mickiewicza ze Skrzyneckim. Mickiewicz płonie żarem myśli wyzwolenia narodu, a Skrzynecki zadaje pytanie, co na to spowiednik? Czujemy oburzenie Mickiewicza, gdy odpowiada kunktatorskiemu Skrzyneckiemu: „Jeżeli rzeczywiście wszystkie pytania, dotyczące się naszej przyszłości, odsyłasz tylko do spowiednika, pocóż buntowałeś się przeciw Moskwie? Jaki spowiednik na mocy jakiego kanonu rozgrzeszył cię na wodza i tułacza? Teraz widzę z bólem, że kiedy nasz naród z grobu rusza się, bo duch wyższy przychodzi kamień odwalić, ty pytasz tego ducha, czy ma patent na mechanika i pozwolenie urzędowe odwiedzania cmentarza“.

Takich przykładów możnaby przytoczyć setki. Polska nie zna swoich Ostrorogów, Modrzewskich, Rejów, Towiańskich, Goszczyńskich, ale zna dobrze Skargę i podług słów jego w wielkich masach myśli jego myślami. „Pierwej zbawienia i ojczyzny niebieskiej bronić, bo jeśli ojczyzna ziemską zginie, przy niebieskiej się ostoim.“ Czy może być coś równie tragicznego, jak fakt, że nasze jasne stulecie

szesnaste to Herculanium i Pompeja ducha polskiego, które trzeba wykopywać z wielkim mozołem? Czy można uważać za zjawisko normalne, że naród nie zna dzieł swoich największych myślicieli, jeśli ci myśliciele nie podobają się klerowi, że dzieło Modrzewskiego wydaje się z opuszczeniem najważniejszego bodaj rozdziału *De ecclesia*, że mało kto wie o Prelekcjach Paryskich Mickiewicza i jego Trybunie ludów, że na palcach możnaby zliczyć nefachowców znających śmiało artykuły polityczne Goszczyńskiego i że Towiański jest dla nas jakimś mitem, raczej pociesznym, niż poważnym i rozumianym? Zawsze jeszcze pytamy ze Skrzyneckim: Co powie na to spowiednik?

Toteż artykuł Tadeusza Hołówki jest wysoce aktualny, a Redakcja słusznie czyni wzywając do dyskusji na ten temat. W artykule rzuca się w oczy kilka antytez.

Przedewszystkiem lud a inteligencja. Lud głęboko religijny? Zacząć należałoby od definicji pojęcia religji. Jeśli za religję weźmiemy stosunek człowieka do Bezmiernego i Wiekuistego, stosunek bezpośredni, oparty na pewnych jeśli nie przemyśleniach, to przynajmniej wyczuciach; to musimy zredukować swoje wyobrażenia o religijności naszego ludu. Nasz lud jest podobnie obojętny religijnie, jak i inteligencja. Pod wpływem pewnych prądów obojętnieje dla kościoła i kleru podobnie łatwo jak nasza inteligencja i wyobraża sobie, że zobojętniał dla religji, podczas gdy faktem jest to jedno, że zobojętniał dla pewnego wyznania, nie poznawszy bynajmniej religji. U nas szczytem religijności jest jeszcze ciągle bigoterja i dewocja. Kto widział jak ten nasz religijny lud odmawia pacierze, ten o jego religijności musi poważnie powątpiewać. Mechanicznie odmawia się słowa, szybko jedno za drugim, bez zastanowienia się nad ich znaczeniem, bez myśli o tem, że rozmawia się z Bogiem.

Ta zewnętrzna religja szkaplerzy, wody święconej, odpustów i pacierzy klepanych bezmyślnie nie wpływa wcale a wcale na moralną jakość człowieka.

Jeśli to jest religją i religijnością, to inteligent polski nie potrzebuje bić się w piersi, że oddalił się od ludu w dziedzinie wierzeń religijnych.

Różnica między ludem a inteligencją nie jest pod względem religijnym tak wielka, jak się na pierwsze spojrzenie wydaje. O swojej pustce wewnętrznej inteligencja postępową wie, lud nie wie, podobnie, jak nie wie ta część inteligencji, która nie myśli. Za religję bierze nasz lud to, czego inteligent myślący nawet w najgorszym razie uważaćby nie mógł.

Inteligent, który uważa, że ma pustkę w sercu, łatwo spostrzeże jak ta pustka powstała. Wyrzucił z serca coś, co już nie żyło i jeśli

znał pisma Nietzschego, to niezawodnie przypomniał sobie sławne aforyzmy o bogobóstwie i bogobójcy.

A jednak czujna inteligencja dość ma tego, gdy w pewnej chwili słysząc o jakimś cudzie w Lourdes, czy w Częstochowie, zostanie olśniona objawieniem, że przecież cudem nad cudami jest samo nasze istnienie. Materja? Ślicznie! Teorja Laplace'a, ingławica, ruch, tworzenie się światów, powstanie życia, świadomości i td. Takie to przecie proste! A jednak myśl idzie dalej i nie chce stanąć na rubieży zjawisk. Przyjdzie dziecięce naiwne pytanie: A skąd się wzięła materja? Skąd pierwszy ruch prowadzący do organizowania się chaosu, jak z martwej materji mogło powstać życie, jak zrodziła się świadomość? Oto cały szereg pytań, na które nie znajduje się odpowiedzi w wiedzy współczesnej. Dalej przychodzą pytania subiektywniejsze i bardziej interesowne: Jestem,, chcę być, chcę tworzyć, rozwijać się od wieków po wieki. Wyraził to jeden za miliony, Fryderyk Nietzsche, powiadając: „Zgiń! — mówi ból. Roskosz za wiecznem życiem lka —, wieczności chce bez dna, bez dna“! — Co wiemy? Nic, albo prawie nic. Czasem pojawi się wśród niedoli ludzkiej jaki wielkolud, który rzuci nam w twarz nową zagadkę i pozostawia nas sam na sam z myślami o tem, czy poza zjawiskiem jest coś wogóle, czy to, co uważamy za materję jest wogóle materialne. Berkeley, Kartezjusz, Kant, Schopenhauer, Bergson. Łapczywie chwytamy każdą nową myśl w nadziei, że nareszcie zasłona spadnie i spojrzymy w twarz zagadce swego istnienia i swoich przeznaczeń. Odwracamy się rozczarowani, ciemni, niewiedzący. W antropomorficznego Boga księdza katechety już nie wierzymy, na poszukiwanie Boga własnego brak nam kolumbowej odwagi. Idziemy tedy zrezygnowani i smutni, udając obojętnych.

A przecie mogłoby być inaczej! Kto ogarnie wszechświat z wysokości pragnień własnej duszy, temu ukaże się cała zagadkowość istnienia i temu rzuci się w oczy wielka prawda, że sprawa istnienia Boga nie jest bynajmniej sprawą trudniejszą do ogarnięcia umysłem człowieczym, niż sprawa istnienia żdźbła trawy. W umyśle naszym wszechświatowi przeciwstawia się nicłość. Między jednym a drugim błąka się nasza myśl, wiecznie niespokojna i niedająca się zaspokoić. Kto raz dostrzegł tajemnicę tkwiącą w barwie i woni kwiatu, w tem co mija i w tem co wiecznie trwa, ten już nie pozbędzie się męczącej zagadki. Chrystus bractwa różańcowego przemieniony w malutkiego bożka, — wyrośnie przed jego odrodzonym wzrokiem do bezmiaru bólu i męki całego świata. Po tem poznaniu nie trzeba iść do ludu z pustką w sercu, ale można iść z pełnią wspaniałego poznania, którem dzielić się trzeba z tymi, których wieki wychowały na fetyszystów i polidemonistów.

Oczywiście, na postępie i radykalizmie społecznym mszczą się nierozważne metody przeszłości. Religja i klerykalizm były dla nas pojęciami zamiennymi. Walcząc z klerykalizmem, nie oszczędzaliśmy religji. Nie mogliśmy jej oszczędzać, ponieważ nie mieliśmy jej sami, a koniec wieku dziewiętnastego i początek dwudziestego znamionowały „wyjaśnione“ „Zagadki świata“ Haeckla. Byliśmy przekonani, że wiedza odpowie na wszystkie pytania, na które nie zdołała dać matematycznie ścisłej odpowiedzi religja. Spostrzegamy swój błąd i nie powinniśmy wahać się naprawić go corychlej. Nie z religją, ale ze zwyrodnieniem religji walczyć należy, a przede wszystkim z tem, aby religja nie była wyzyskiwana do panowania jednej warstwy społecznej nad drugą. Zadanie nie jest łatwe, Mechanizacja i automatyzacja życia religijnego wżarła się głęboko w psychikę ludu i inteligencji. Łatwo jest pójść do kościoła czy na odpust, łatwo zapalić lampkę przed obrazem, nie przerywając sobie przy całej tej „religji“ przyjemności życia i zabiegów około gromadzenia mienia. Inaczej przedstawia się sprawa, gdy człowiek staje wobec wymagania Chrystusa, aby się odrodził i stał się nowym stworzeniem. Taka religja jest to porachunek z samym sobą, wyjście poza siebie i wzniesienie się o całą nową istność wyżej. Chodzi tu o wielki czyn nowego stosunku do wszechświata i do człowieka. Teologja staje się czemś małym wobec wielkich nakazów Chrystusa. Oczom ducha jawi się Chrystus, sądzący żywych i umarłych, ale nie rozprawiający o zagadnieniach teologicznych. „Przyszedłem do was nagi a odzielście mnie, przyszedłem głodny a daliście mi jeść, byłem w więzieniu i chory a odwiedziliście mnie...” „Kiedy, Panie?” „Coście najmniejszemu z pośród was uczynili, mnieście uczynili“. Oto istota chrześcijaństwa, istota religji. Miłość czynna, dobroć wzajemna, łaskawość. Byłoby dość trudno zrozumieć dlaczego radykalizm społeczny miałby obawiać się takiej religji. Wszak ideały socjalizmu, to ideały braterstwa w ludzie tworzącym, myślącym i tęskniącym za realizacją piękna moralnego przede wszystkim.

Jeśli chodzi o broń najskuteczniejszą do walki z klerykalizmem, to trudno byłoby znaleźć broń skuteczniejszą od Ewangelji. Ona demaskuje wszelkich szarlatanów, ona ujawnia wilków pod owczą skórą. Niechże nasi inteligenci sięgną do Ewangelji i poznają ją bezpośrednio. Dokonają tego, co w wieku trzynastym wydzwignęło tak wysoko Ubogich z Lijonu, co napełniło męstwem serca i dusze prostaczków, co wreszcie stworzyło nasz wiek złoty. Przy nadużywaniu imienia Chrystusowego dla celów politycznych byłoby wprost nieocenionym, gdyby ludzie świeccy umieli mówić słuchaczom z ludu o tem, czym Chrystus był naprawdę i czego chciał. Trzeba zerwać z ignoracją

i biernością. Świecić będziemy innym dopiero wówczas, gdy się sami zapalimy.

Nie ludźmy się, że klerykalizm szerokich mas da się usunąć inaczej, niż przez uświadomienie religijne. Bezustannie pamiętać musimy o tem, że przeciętny katolik wierzy w to, że ksiądz ma jego los w swoim ręku. Ksiądz rozgrzesza, to znaczy zamyka bramę nieba, albo ją otwiera. Zaden despota nie posiedzie takiej bezgranicznej władzy nad ludem, jak kler, dopóki lud wierzyć będzie, że kler może dysponować jego wiekuistemi losami zagrobowemi według sympatji lub antypatji dla przekonanych politycznych penitenta. Trzeba koniecznie dać ludowi w rękę Ewangelię i Listy Apostołów, aby zobaczył, jak powstawało chrześcijaństwo i co tworzy po dzień dzisiejszy fundament religji, która dla naszego ludu jest religją trwogi. Na Śląsku Cieszyńskim ewangelicy piastujący nawet urzędy kościelne, należą do partji socjalistycznej i jakoś jedno drugiemu nie przeszkadza, podczas gdy u nas jakiś pocziwy a zachłanny klerykał wypowiedział się niedawno w „Jutrzence“, że podręcznik do dziejów literatury Ignacego Chrzanowskiego jest paszkwilem na katolicyzm i apologją herezji.

Gdy lud otrząśnie się z zabobonnego strachu przed księdzem, będzie można porozmawiać z nim o istocie demokracji, o polityce, sprawach społecznych i t. d. Ale dopóki się to nie stanie, nie mamy prawa żądać od biednego zahukanego człowieka, żeby narażał się na nieotrzymanie rozgrzeszenia, czyli *eo ipso* na wiekuiste potępienie za czytanie pism postępowych i należenie do P. P. S. Upiory straszą tylko w mrokach; gdy się zapala światło, upiory znikają. Zapalmy to światło! Nie potrzebna będzie żadna specjalna walka z klerem, podrywanie jakichś autorytetów, bo lud wysnuje pewne wnioski z pewnych przesłanek. Czy się zdecyduje na pozostanie w kościele rzymskim, czy przełoży kościół narodowy, czy zdecyduje się na co innego—jego to będzie rzeczą.

Demokracja w społeczeństwie sklerykalizowanym, jakim jest nasze, to z konieczności hierokracja przy pomocy tłumów ciemnych. Ciemnota jest warunkiem utrzymania się przy władzy tego kleru, któremu w Polsce oświeconej nie będzie tak dobrze, jak mu jest w Polsce ciemnej. Dopóki zaś kler ma niebo dla przyjaciół partyjnych, a piekło dla wrogów, jest potęgą pierwszorzędna i na to nic nie pomoże. Ludowi nie żal estetyzmu religijnego, jak go o to podejrzewa T. Hołówko, ale lud się boi. A nuż nieotrzymanie rozgrzeszenia jest drogą do piekła? Możemy żądać od kogoś, aby oddał życie dla idei, ale nie wolno nam żądać od nikogo, aby poświęcił szczęśliwość wiekuistą za czytanie „Wyzwolenia” albo „Robotnika”. Jarzmu, które pochyła głowy ku ziemi i pęta nasz lud, na imię *strach*. Strach przed księdzem,

Bierzemy się do rzeczy w sposób nieraz naiwny. Głosimy konieczność wolności, z której korzystać może tylko człowiek wolny, ale nie myślimy o tem, aby lud, któremu chcemy dać wolność, został wyzwolony. Biednemu chłopu czy zahukanemu robotnikowi dajemy aeroplan i powiadamy mu: Masz, bracie, i bij rekordy wysokości.

Chłopina spogląda na nas napoły uradowany i napoły wystraszony. Rozumie tylko to jedno, że wszystko to bardzo pięknie i ładnie, może i ludzie dający mu narzędzie do latania są dobrzy, ale rozgrzeszenia mu dać nie mogą. To może zrobić tylko ksiądz wikary, albo ksiądz proboszcz. Jeśli nie będzie ich słuchał, to i na polu mu się nie urodzi, i na dzieciska zwalić się może jaka chorość, i nie pochowają człeka, jak się patrzy i co najgorsza, pójdzie się na wiekiście męki, które się z calutenkiej religji najdokumentniej zna. Zaiste, że przy takim stanie oświecenia, absolutyzm jakiegoś mądrego Józefa II jest błogosławieństwem w porównaniu z demokracją bez demokratów. My, którzy możemy powiedzieć o sobie, że jesteśmy naprawdę demokratami, przeszliśmy przez materjalizm i ateizm ku wyższym poglądom religijno-filozoficznym i śmieiej umiemy spoglądać na zagadnienia społeczne i polityczne. Ale i w nas ileż tkwi jeszcze atawistycznego lęku przed księdzem! Nie chodzimy do niego po rozgrzeszenie, nie pytamy się go czy nas potępi, czy pochwali, bo jest nam doskonale obojętny, a jednak uważamy snąć za jakąś herezję czytanie Ewangelji. U niejednego inteligenta można znaleźć w domu źródłowe wydawnictwa tekstów do różnych religij egzotycznych, lecz nie znajdzie się u niego Biblii. Gdy w jakiejś sprawie trzeba przytoczyć tekst z Listu apostoła Pawła, albo słowo Chrystusa i pyta się się o Biblię, to na ustach gospodarza wykłwita jeden z tych dobrodusznych, wybaczących uśmiechów, który zdaje się dyskretnie dziwić i wspaniałomyślnie przebaczać. Któż znowu będzie miał w domu Biblię, kiedy to *mauvais genre* jako że czytać ją woino tylko księżom! Nie jest w złym tonie mieć w domu Upanisady, Koran, Kojiki, i Nihongi japońskie, Awestę Zaratustry, ale Biblię? Jeszcze gotów ktoś pomyśleć, że się jest jakimś nowinkarzem...

Jest dziwnie mało zainteresowania w nas dla naszej religji, dla jej Twórcy, dla apostołów. Renana przeczytamy, Straussa także, chociaż skandalicznie trudny, ale nawet przez myśl nam nie przyjdzie, aby sprawdzać ich cytaty. Mówimy o sfalszowaniu historii przez papieństwo, ale nie umiemy przytoczyć tego miejsca Ewangelji, które ów fałsz demaskuje. Wypadnie nam nauczyć się jeszcze wielu rzeczy, zanim narazcie będziemy mogli przystąpić do immunizowania naszego ludu przed chorobą klerykalizmu. Ten biedny, ociemniany lud nie wie o polskości swojej, ale wie o katolicyzmie. Klerykalista nie uważa polskości za le-

gitymację. Tylko Polak, to mało; trzeba być jeszcze dobrym katolikiem to jest klerykałem.

Czasy zmieniają się fatalnie na niekorzyść demokracji i wolności. Dość powiedzieć, że w chwili obecnej nie mamy, ani Niemojewskiego, ani Świętochowskiego z przed lat dwudziestu. Gdy się przegląda stare roczniki pism postępowych, to ma się wrażenie ogromnie przykre, gdy na pożółkłych stronicach tych pism spotyka się nazwiska dzisiejszych filarów Kurjera, Rzeczypospolitej, Gazety Warszawskiej. Starość? Ależ widzieliśmy w czcigodniej postaci Radlińskiego, że można się zestarzeć i zostać wiernym swoim przekonaniom młodzieńczym. Tu chodzi o coś innego, kto wie, czy nie społeczno-patologicznego. Warto o tem pomyśleć. Nie umiemy wydostać się z błędnego koła. Spaczenie charakterów, brak wierności dla przekonań i t. p. tłumaczmy niewolą, ale niewolę tłumaczmy spaczeniem charakterów. Trzeba sięgnąć głębiej do duszy narodu i znaleźć przyczynę przyczyn naszych klęsk politycznych i moralnych.

Nie jesteśmy dość metodyczni i zdaje się nam, że nasz lud może przeskoczyć tę fazę ewolucji, którą przebyliśmy sami. Ucząc go, aby nie ufał klerowi politykującemu, każemy mu ufać sobie. Uczmy go ufać swemu rozumowi i uzbrajamy ten rozum, a jednocześnie ćwiczymy w ludzie śmiałość i sprawność używania tego daru Bożego, jakim jest rozum. Rozkujemy zakute umysły tylko przy pomocy tego samego narzędzia, którem je zakuto. Człowiek wolny musi stać się człowiekiem wiedzącym, nie lękającym się. Dopóki człowiek z ludu będzie drżał przed księdzem, ksiądz będzie jego panem. I jest nim. Panuje faktycznie i dlatego nawet z nami nie polemizuje. Bo i na co? Masy idą za nim i na masach tych opiera swoje panowanie. Ale jedno jest jasne i nieulegające kwestji, że masy oświecone i nietrwożliwe za klerem nie pójda. Przynajmniej nie pójda za klerem lichego pokroju dzisiejszego.

(S).

SZERMIERZE POLSCY NA KRESACH

Znamy z opowieści, pism i broszur martyrologję kresów czasu wielkiej wojny. Tomy całe nieraz bardzo fantastycznych romansów spisano o okrucieństwach czerezwycajek, o krwawych widmach Szeli, o paleniu i obracaniu w perzynę starych polskich dworów, o sadystycznych orgjach niszczenia.

Krew ścina się w żyłach, ilekroć wspomnieć tysiące istnień polskich skazanych na zagładę, nad którymi pastwiono się nieludzko. Cierpieli bo byli Polakami, inteligencją, — „burżuazją“. Cierpieli, bo utraciwszy wszystko, bronili się rozpaczliwie przed utratą ostatniego z dóbr ziemskich—życia własnego. Znamy ich gehennę: ucieczki w morderczym ogniu kul, długomiesięczne kryjówki w piwnicach, po lasach, o głodzie, w łachmanach.

Ale martyrologja kresów, prócz karty owej męczeństwa polskiego — ma jeszcze na ogół mało znaną, kartę—bohaterstwa polskiego.

Któż zna te dziesiątki bezimiennych bohaterów, co bronili się przed utratą nie mienia, bo go nie mieli, lub o nie nie dbali, nie życia własnego, bo cenili je o tyle tylko, o ile oddać je mogli „tej, która nie zginęła“. Któż zna pokrwawione stopy dziewcząt polskich, co boso w żembraczem przebraniu rzucały magnacki nieraz dom rodzicielski i mil dziesiątki w dzień czy w noc, w mróz czy słotę wśród rozstawionej zdradziecko sieci drutów kolczastych i gorszej stokroć—czerezwyczajek — biegły, wskroś dyszącego pożogą ognia frontu walczących armij — nie poto, by znaleźć ratunek w Ojczyźnie, lecz by jej nieść wieść dobrą i z dobrą wieścią, czy ładunkiem broni tąż samą drogą wrócić—i iść nazajutrz znowu.

Któż zna te dziesiątki chłopców polskich, których kości bieleją dzisiaj w rowach przydrożnych puszczy Białoruskich, których ciała młodzieńcze zrzucano z bastjonów fortecznych w zimne wody Dniepru i Berezyny. Co przebrani w łachmany, lub w „rubaszki“ moskiewskie kryli się w podziemiach, by życiem swem życie idei salwować. Których po dziesięćkroć nocą wyprowadzono na śmierć, by zabić w tydzień później, gdy strzelaniem w powietrze, lub w serca stojących opodal kolegów—nie zdołano uprzednio zabić w nich ducha.

Tych wszystkich, których polskość przejawiała się nie w typie, tylko, nie w sławie, nie w nazwisku nawet, gdy z zaciśniętymi usty konali pod przybranem imieniem „kontrewolucjonisty“, ¹⁾ ale w tej krwi co żyźniła tak cicho, a szczerze ziemię Mińszczyzny, Podola, Ukrainy.

W okresie wojny—nie było komu myśleć o nich. W czasie pokoju—czasie ceduł giełdowych, gonitw o teki ministerjalne i intratne synekurki, czasie kopania dołków i obrzucania z za węglów pociskami śliny i błota, czasie nowych „idej“ i nowych „bohaterów“, godzących

¹⁾ Tak zginął, jako rzekomy lewy-eserowiec — „Mowczan“, członek P. O. W. Mińskiego Okręgu, młodziutki student Wyższej Szkoły Rolniczej w Warszawie Józef Sochacki, schwytyany po wysadzeniu mostu żelaznego na rzece Oli pod stacją Witgensteinską na linii Mińsk—Smoleńsk, w przeddzień kwietniowej ofensywy polskiej na Wilno 1919 roku.

w własne państwo — też niema komu myśleć! Zagłuszył ich, na krwi ich wzrosły i krwią ich tuczony legjon nowych „patryotów“, przekrzykujących się co głośniej: „Polska, Polska“.

Może dlatego tak nienawistne są w pewnych kołach te trzy litery — P. O. W. co sprzegły ich spójnią, którą śmierć tylko zdolna była rozzerwać?

Kiedys — bezstronny badacz zmagania narodu w czasie wielkiej wojny, odnajdzie ich imiona i przekaze potomnym na otuchę, na wzór, — a im samym na chwałę.

Staną godni obok Konarskich, Zwierzdowskich, obok Potockiej Klaudyny.

Dziś dwa wspomnijny imiona, co przewodziły im w walce: „Żywy“ — Stefanowski, — „Głóg“ — Tejszerska. Komendant naczelny i komendantka naczelna P. O. W. na Białoruś i Rosję północno-wschodnią.

Nie sposób tutaj wyliczać wszystkich ich czynów, — na niektóre jeszcze za wcześnie. W trudzie i znoju dni i nocy tworzyli nieugięcie Polskę, budząc, krzepiąc i ubojawiając braci, wyciągając zbrojne ramiona przez sztuczne kordony. A sami w przeddzień marzonego przez życie całe wyzwolenia wazyli się na akt najwyższego poświęcenia — opuszczając miejsca, gdzie misja ich już była skończoną i ruszając na dalszą walkę, w piekło i pustynię wschodu. Schwytano ich na tej drodze i pomordowano...

Jadwiga Tejszerska lat życia dwadzieścia, z czego służby lat trzy.

Mateusz Stefanowski lat życia dwadzieścia cztery, z czego służby lat sześć.

Oto co pisał o nim, między innemi, w krótkim, wojskowym meldunku ówczesny w 1919 r. dowódca frontu litewsko białoruskiego — dzisiejszy minister spraw wojskowych, generał broni Szeptycki.

„..... w czasie swej działalności na czele organizacji stworzył z niej nie tylko jedyne w tych krytycznych dla Mińska chwilach ugrupowanie, stojące niezłomnie na gruncie niepodległościowym i będące moralną ostoją dla tamtejszego społeczeństwa, — lecz pierwszorzędną placówkę wojskową, której owocna i ofiarna praca znakomitą była pomocą w pracy D-wa frontu L. B., przyczyniając się w znacznej mierze do zdobycia Mińska. Pracą tą ś. p. porucznik Stefanowski osobiście kierował...“

Dekretem Naczelnego wodza L. 2184 z dnia 24 VI 1920 „w uznaniu nadzwyczajnych zasług dla dobra Ojczyzny położonych i okupionych bohaterską śmiercią przez rozstrzelanie z zatwierdzeniem posiadanego stopnia“ ś. p. Stefanowski przyjęty był do W. P.

PRZEGLĄD

(A. SK.) PRZEGLĄD POLITYCZNY

Nad życiem politycznym ubiegłego miesiąca dominował ten fakt, że jest to pierwszy miesiąc działalności nowego rządu. Rządu, który przez prawicę dawno był przygotowywany, dawno obiecywany, dawno odmalowywany w jej propagandzie jako wstęp do zbawienia życia społecznego, trapionego powojennymi niedomaganiem. Rządu, który dla lewicy był od dłuższego czasu groźnym widmem reakcji, samowoli i destrukcji życia państwowego.

Jakież na realizację tego — dla tamtych ideału, dla tych zaś widma zareagowały uczucia obu obojów społeczeństwa?

Opinia sfer ulegających agitacji prawicy ani chwili nie była zachwycona. Wychowywana nie za pomocą propagandy idei lecz reklamowania nazwisk — nie znalazła ona w rządzie ani Korfanteo, ani Hallera, ani Paderewskiego, ani Dmowskiego. Natomiast trudno jej było zapomnieć, że Witos i Kiernika do niedawna przedstawiano jej jako „chamów“ i „dojłidziarzy“ — i nie mogła rządu, przez te nazwiska firmowanego uznać za ów rząd „jedynie narodowy“ jakiego kazano jej po realizacji postulatu „czysto polskiej większości“ z upragnieniem oczekiwać. Z początku oczekiwała jeszcze obiecywanych niedawną agitacją zmian w życiu, spodziewała się spadku drożyzny, podwyższenia kursu marki, — gdy jednak to nie nastąpiło, gdy przeciwnie nastąpiły zjawiska wręcz odmiennie, wyczekująca niepewność zamieniać się zaczęła na coraz to wyraźniejsze uczucie zawodu i niechęci.

Opinia lewicy natomiast nie zareagowała tak silnie, jak tego należało się spodziewać. Najbardziej wstrząsającą podzielał fakt ustąpienia Komendanta Piłsudskiego z zajmowanych stanowisk. Przyjęte to zostało i odczute jako znak ostrzegawczy, że obecna zmiana rządu nie jest to mniejsze lub większe niepowodzenie partyjne, lecz coś co grozi podstawom państwa, skoro ten człowiek, którego imię stało się symbolem tego wszystkiego co państwo buduje, uznał, że na jego pracę w obecnej konstelacji miejsca nie ma. Szczególnie silnie uczucia te wstrząsnęły — rzecz jasna — wojskiem, które dało im kilkakrotnie poważny wyraz, taki, na jaki mu pozwalały twarde wymogi służby. Uczucia te przejęły również i lewicę — i to nie tylko działacze politycznych, ale nurtować zaczęły i w szerokich masach miast i wsi, zmuszając nawet klub „Piasta“ do wniesienia na Sejm ustawy o uznaniu zasług Piłsudskiego dla państwa, by móżdż tłumaczyć swym zwolennikom, że idąc z N-Dem. nie podziela przez to jej stosunku do byłego Naczelnika.

Naogół jednak pocieszono się zbyt łatwo tą myślą, że przeciwnik polityczny po kilku miesiącach rządów skompromituje się, otwierając tym samym pole innej, pomyślniejszej konstelacji. Konsekwencją czynną takiego stanowiska musi być silne zainicjowanie walki politycznej w całym kraju, w celu rozegrania partii na tym gruncie, który w państwie demokratycznym decyduje: wśród szerokich mas wyborców. Walka ta rozpoczęła się. Faktem jest niewątpliwym wielkie, niekiedy olbrzymie powodzenie wszelkich zebrań i wieców urządzanych przez stronnictwa i organizacje lewicowe tak w Warszawie jak i na prowincji. Faktem szczególnie ważnym jest wrogi Witosowi nastrój wsi — tak w b. Kongresówce jak również i w Małopolsce. O wynikach walki jednak przedwczesnym jest obecnie przesądzać wobec tego, że nie można jeszcze ocenić, czy

owe nastroje będą się wzmacniały czy też po początkowym zaognieniu, przy nie dość intensywnej pracy politycznej lewicy, zaczną błędnąć.

Drugą konsekwencją czynną takiego stanowiska lewicy powinna być praca nad skonsolidowaniem poszczególnych stronnictw — i to nie tylko na gruncie wspólnej taktyki opozycyjnej, ale również na podstawie pozytywnego programu we wszystkich najważniejszych kwestiach polityki państwowej. Nie brak było w ostatnich paru tygodniach sejmu oznak dobrej woli w sprawie takiego porozumienia. Niestety praca ta przycichła na okres wakacyjny, co może nie było koniecznym.

Na takie tło nastrojów i poruszeń politycznych padać zaczęły już fakty, które uważać trzeba za pierwsze wyniki działalności nowego rządu. Niepowodzeniem w sprawie kopalni Delbrück zapłacił rząd za demagogię, którą tworzące go stronnictwa zwalczały rząd poprzedni. Ze strony czeskiej w zamian za demonstracyjne umizgi spotkał się p. Seyda z brutalną odprawą, która daje przedsmak tego, jakie rezultaty zagranicą osiągnąć może metoda postępowania pozbawiona poczucia godności własnej, jaką politycy n-demokratyczni uważają za szczyt dyplomacji. Wizyta królewskiej pary rumuńskiej również, a tym bardziej obecna sesja Ligi Narodów nie jest pozbawiona momentów znamionujących, jak bardzo zniżyła się powaga Polski zagranicą z chwilą, gdy u jej steru staneli politycy nie rozumiejący co to jest linia postępowania według własnych interesów państwowych, i nie umiejący odróżniać pojęcia sojusz do pojęcia wasalstwo. Spadek marki polskiej niewątpliwie wywołany został w znacznej mierze katastrofą walutową w Niemczech. Zaprzeczyć się jednak nie da, że i ten czynnik, który określane bywa jako stopień zaufania zagranicy do państwa, czynnik, który w ostatnim roku tak wybitnie zmienił się był na naszą korzyść, zachwiany został ponownie i rozmiary przesilenia znacznie pogłębił.

Sam rząd, jak dotąd, przejawiał czynność w jednej dziedzinie tylko: Oto zaczęły się gwałtowne „rugi“ urzędników we wszystkich ministerstwach, bez względu na kwalifikacje urzędników a tylko dyktowane względami partyjnymi.

„Rugi“ w ostatnich dniach dotykać zaczęły i wojska. Koroną tego systemu jest ustąpienie ministra skarbu, które niewątpliwie — choć tak groźne dla rozpoczętego dzieła naprawy skarbu — szło po linii intencji większości rządowej.

* * *

Zdarzeniem wstrząsającym, króro zapanowało nad atmosferą polityczną chwili, ale niewątpliwie odbije się również głęboko i w przyszłości — i w duszach ludzkich, była mowa Marszałka Piłsudskiego na obiedzie wydanym na jego cześć przez szerokie sfery jego najbliższych zwolenników. Mowa ta stanie się pobudką do głębokiej pracy myślowej dla ludzi chcących i zdolnych podjąć się twórczej roli w życiu polskim. To też trudno kusić się o omawianie jej znaczenia w ogólnym przeglądzie zdarzeń bieżących.

Ujawnione w niej niesłychanie mocne napięcie uczuciowe najsilniejszej dziś duszy w Polsce działa jak płomień, w którego żarze oczyszcza się dusza słuchacza i czytelnika, krystalizuje myśl i wola. Nacisk, położony przy syntetycznym ujmowaniu historii życia narodowego pierwszych kilku lat niepodległości w pierwszym rzędzie — a nawet jedynie — na pierwiastek moralny zbiorowości narodowej, i na pracę lub destrukcję moralną, która, gdy się odbywa, decyduje o całokształcie zjawisk społecznych (jak proces chemiczny decydu-

je o kształcie, barwie, woni lub smaku ciała,) zmusza do rewizji niejednego szablonu, który przywykliśmy mechanicznie stosować do oceny naszego rozwoju i naszej teraźniejszości narodowej, lub do wytyczania dróg naszej działalności. Surowy a twórczy pesymizm, przenikający każde niemal zdanie, wstrząsa, rozbudza, czyni czujnymi i gotowymi na apel tych wszystkich, którzy zgłębiać śmiało zło, klęskę lub niebezpieczeństwo nie po to tylko by płakać lub wątpić.

To też, ktoby szukał w tej mowie taniej, uspokajającej pociechy, a nawet doraźnych haseł — zawiódłby się. Lecz wzamian za ten zawód zyska ów niepokój sumienia, który dla każdego, kto potrafi zdobyć się na pracę, jest zawsze źródłem nowych horyzontów myśli, nowych aktów woli — i osiągnie nowe zdobycze w tej czy owej, a w każdym razie najbliższej swemu powołaniu dziedzinie czynu.

ZAGRANICA

(h.) CZECHOSŁOWACJA, I.

Niezaprzeczenie najbardziej interesującym ze wszystkich państw stworzonych przez traktaty wersalski i senżermeński, jest Czechosłowacja. Z teoretycznego punktu widzenia interesuje w powstawaniu i budowie tego tworu to przede wszystkim, że jest on sztucznym wyrazem sytuacji, osiągniętej przez zwycięstwo państw zachodnich w momencie powalenia, lecz *nie* podeptania Niemiec, w chwili nie tylko podeptania, lecz i zupełnego zdruzgotania Austrii i niewyjaśnionej perspektywy na wschodzie, skąd nadciągały najsprzeczniesze odgłosy i wychodzić się zdawały najprzeciwniejsze możliwości. Twór ten jest sztucznym i przypadkowym aż do swej nazwy: Rzeczpospolita Czechosłowacka, a nie czesko-słowacka, jak to się zgodnie z charakterem jej ludności raz poraz powtarza w terminologii państw obcych.

Państwa historycznie rozwinięte, rezultat wielowiekowych wysiłków, zazwyczaj nieświadomie, o ile chodzi o działanie każdego poszczególnego pokolenia działającego, wypełniają pewne ramy geograficzne, o wyraźnej fizjonomji, jako całości, mają swoją zasadniczą oś, około której obraca się wysiłek integrujący terytorjum, i jednolite linje dalszego rozwoju, zasadnicze orjentacje ekspansji dalszej. Element ludnościowy czasem wyprzedza tego rodzaju terytorjalny rozwój, a w takim wypadku czynnik demopolityczny wskazuje drogę, po której posuwać się ma dalszy rozwój państwa: za zupełnie dobrowolną, samorzutną kolonizacją elementu mazowieckiego na Podlasiu i na jeziorach mazurskich posuwało się państwo polskie w kierunku, wytkniętym przez konsekwencje geograficzne swego terenu, w poszukiwaniu granicy wschodniej i morza. Przeważnie zaś państwo rozbudowuje się stosownie do swoich sił, opierając się o granice geograficzne t. zn. naturalne, t. j. przez samą naturę swoją bardziej obronne, by następnie wypełnić je ściślej elementem ludności panującej, przez stopniowe kolonizowanie tego terenu aż po granicę państwową. Czynnik demopolityczny idzie w tym wypadku śladami wskazań geopolitycznych rozwoju. I pod tym względem dzisiejsza Czechosłowacja odbiega od zasadniczych dróg rozwoju państw, a jej budowa może wobec tego uchodzić za przypadkową.

W chwili rozgromienia Austrii, i następującej potem kapitulacji Niemiec (list. 1918) dla kierowników polityki świata było rzeczą oczywistą, iż celu wojny nie osiągnięto. Niemcy, jako „niebezpieczeństwo powszechne“, z wojny wyszły zwyciężone, zbankrutowane, zdziesiątkowane, lecz naogół utrzymały swoje stanowisko polityczne. Tym baczniejszą należało zwrócić uwagę na wszystkie pośrednie konsekwencje tego niebezpieczeństwa, na drogi wpływów, którymi Niemcy przed wojną zagrażały innym państwom, a przede wszystkim Anglii. Niemiecka koncepcja panowania nad Wschodem, a zarazem oś działania przeciwiangielskiego — to była linja kolejowa Berlin — Bagdad — Basra (od 1903), z odgałęzieniem, które z Wiednia prowadzić miało do Salonik. Niemiecka sfera wpływów pośrednich to była Turcja, dokąd prowadziła droga przez zupełne uzależnienie Austrii i wepchnięcie jej na Bałkany. Tę drogę należało przeciąć raz na zawsze, a uzależnienie południa od Niemiec uniemożliwić na stałe. A na to istniał jedyny sposób: Bałkany należało pchnąć mocno na północ, u granic Rzeszy Niemieckiej, czy Republiki Niemieckiej stworzyć trzeba było bałkanizację terytorjów, do czego tak bardzo nadawała się utrzymująca się powszechnem umiarkowaniem niezadowolaniem licznych swoich ludów — Austrija. Na jej gruzach, a w promieniu nieustannie rosnącego wśród narodów dążenia do samodzielności powstać miały nowe państwa — dostatecznie małe, by nie mogły zdobyć się na kierownicze, samodzielne stanowisko w dolinie Dunaju, dostatecznie duże, by mogły wogóle istnieć na pograniczu Niemiec, zlepki zatem pokrewnych sobie etnicznie elementów, wśród których najbardziej północne miejsce zająć miały Czechy, powstałe z połączenia terenów, zamieszkałych przeważnie przez Czechów, przez Słowaków i przez Rusinów zakarpackich.

W tworzeniu owego wąskiego i długiego terytorjum o wyglądzie ryby, z głową pod Sudetami i wąskim ogonem na granicy Rumunji i dzisiejszej Ukrainy, w powoływaniu do życia państwa o takim dziwnym kształcie grały rolę nie tylko względy obawy przed Niemcami. Stworzono wprawdzie terytorjalną przegrodę oddzielającą na całej przestrzeni zetknięcia wczorajszych sojuszników Niemców austrijackich i Madziarów od Niemców Rzeszy, stwarzano zarazem kurytarz prowadzący popod Karpatami od granic Rosji do serca Czech. Rosja w końcu 1918 r. ulegała nieustannym gwałtownym wstrząsom wewnętrznym: krwawemu terrorowi czerwonych bolszewików odpowiadał nie mniej krwawy terror białych, a w szeregach białych nie najłagodniejsi byli wycofujący się na wschód legjonarze czescy. Niewiadomo było jeszcze kto zwycięży. Rodziła się proklamowana później przez Clemenceau teoria drutu kolczastego, którym należało ze wszystkich stron otoczyć Sowdepję, by rozpocząć przeciw niej krucjatę świata cywilizowanego. Zdawało się że Rosja wczorajsza, może nie Sazonowa lecz Rosja Miłukowa powróci lada chwila, i że upomni się jeżeli nie o wszystkie, to w każdym razie o znaczne tereny swoich dawniejszych pożądań. Nie tyle sojusznikiem, ile ekspozyturą wpływów rosyjskich w Europie środkowej były Czechy. Oddawna odsunęły się w niepamięć podróże czeskich mężów stanu do Moskwy po powstaniu 1863 r. by tam proklamować jedność świata słowiańskiego na gruzach polskich nadziei politycznych, lecz żywe były nowe dowody tej jedności: wielkie antyaustriackie manifestacje panslawistyczne 1912 r., przechodzenie całych pułków czeskich na stronę rosyjską w czasie wielkiej wojny i polityka starostów czeskich w okupowanym Królestwie Polskim względem ludności, a zwłaszcza względem legjonistów polskich. Tę rolę dawniejszą mogli wziąć na siebie i teraz Czeși, gotowi przyjąć w „depozyt“ Ruś zakarpacką, zaw-

sze pewni potężnego w Paryżu w okresie kongresu wersalskiego wpływu polityków Rosji carskiej i pocarskiej, zjednoczonych w swym wysiłku nie tyle przeciw Sowietaom, ile przeciwko Polsce, dobijając się uznania międzynarodowego.

Reprezentowani w Europie przede wszystkim przez dwóch ludzi: wielkiego patriotę i człowieka dużego autorytetu moralnego, uczonego i działacza politycznego wyższego rzędu Masaryka i zręcznego, a obrotnego polityka i znakomitego organizatora propagandy Benesza, Czesi w walce o swoją państwowość teoretycznie stali na stanowisku ściśle etnograficznym, na stanowisku Wilsona. Za podstawę przyjęli wprowadzić naród, którego przed wojną nie było, a który powstał dzięki porozumieniu dwu odrębnych organizacji dopiero w październiku 1918, naród czechosłowacki.

Mimo zasadniczych różnic istniejących między temi grupami i wyraźnego ciężenia Słowaków ku polskości, mimo stale rosnącego wśród nich oporu wobec przewagi i nacisku majoryzujących ich odtąd Czechów, mimo rodzącego się pod panowaniem czeskim pragnienia powrotu nawet pod rządy węgierskie, wówczas, w r. 1919, można było mówić o jedności dążeń Czechów i Słowaków: sprowadzały się one do wyzwolenia z pod obcego panowania i do samodzielnosci, nie sprecyzowanej u Słowaków, jasno i politycznie konkretyzowanej u Czechów, którzy i za Słowaków przemawiali wobec Europy i zyskiwali poparcie Ameryki. Reprezentacja czechosłowacka wychodziła z założeń etnograficznych wszędzie tam, gdzie to odpowiadało jej dążeniom, nie liczyła się jednak z konsekwencją takiego założenia i w imię własnego programu państwowego powracała do praw historycznych, kiedy chodziło o Czechy, Morawy, a zwłaszcza o Śląsk—na pograniczu polskim operując także argumentami ekonomicznymi; Zagłębie Karwińskie, kraj niezaprzeczenie czysto polski, jako źródło przeszło 65% produkcji węgla czeskiego, miał być przyznany Czechom w imię jedności gospodarczej ich terytorjum, tak jak Preszburg węgierski musiał im być ustąpiony w *imię* interesu strategicznego. Pobici nawet przez wojska Beli Kuhna i uratowani tylko dzięki interwencji *ententy*, wbrew formalnemu porozumieniu z częścią społeczeństwa polskiego atakujący Śląsk polski w chwili wycofania stamtąd wojsk naszych, idących na odsiecz Lwowa, od pierwszej chwili swego istnienia w sporach pogranicznych ujawniali *zachłanność* i zupełną własną nieobronność z mocnem i całkowitym oparciem się o pomoc obcą.

Od początku ujawnili, w zgodzie zresztą z konsekwencjami pomyślniej dla siebie konjunktury powszechnej, zlekceważenie geograficznych wymagań swego terytorjum i kierowali się wyłącznie elementem demopolitycznym w swej polityce. Republika Czechosłowacka jest dzisiaj ze wszystkich państw europejskich państwem najbardziej *nacjonalistycznym*, gdzie ok. 6 milionów Czechów *panuje nad* blisko 3 milionami Słowaków, posiadających już dzisiaj mocną emigrację polityczną, nad przeszło 3 milionami Niemców, oddzielających Czechy z trzech stron od Niemiec i odcinających Czechy od Moraw, a poczuwających się do solidarności narodowej z Niemcami Rzeszy i ekonomicznej z Niemcami Austrii, nad 1/2 miljonem Węgrów, którzy nie mogli zapomnieć rozbiorów i nie mogą zapomnieć szykan rządów czeskich, i nad 1/2 miljonem ciemnych jeszcze Rusinów (nie licząc Polaków i innych). W Czechosłowackiej republice, która objęła prawie cały przemysł austriacki, a zwolniła się od długów austriackich, panuje wszechładnie zasada przewagi państwa *czeskiego*, nad interesem narodowym mniejszości, właśnie w imię rozszerzonego na państwo interesu czeskiego, który za narodowe proklamuje wszystkie

zjawiska gospodarcze, strategiczne i polityczne, pozwalające utrzymać się owej przewadze. Dyktatura nacjonalistyczna Czechów jest właśnie przerzuceniem do dziedziny zewnętrznej wskazań demopolitycznych dla państwa, które posiada wyraźnie kilka odrębnych, sprzecznych osi geograficznych.

Pod względem geograficznym Czechosłowacja nie stanowi jedności i życia jej, jako całości, nie istnieje. Ma ona trzy zasadnicze strefy, o zupełnie odrębnej orientacji geograficznej. Śląsk, należący do dorzecza Odry, i Morawy, przejście od Odry do Dunaju stanowią jedną całość: naturalną drogą na północ dla tego terenu jest Odra, Szczecin jest jego portem, Bałtyk ewentualnym wylotem. Geograficznie jest strefa ta związana z doliną węgierską i naturalnie przechodzi przez bramę Morawską do Polski. Wyraźnie naddunajsko—węgierski charakter posiada rolnicza Słowaczyna, przylegająca do Dunaju i Ruś należąca do górnych części dorzecza Cisy: jest to integralna i nieodłączna część tej dzielnicy doliny Dunaju, którą dziś stanowią Węgry. Zupełnie osobną pozycję posiadają Czechy: przez Wełtawę łączą się z Elbą, polityczną drogą do Saksonji z jednej strony, z drugiej zaś kierują się ku Górnej Austrii, wskazując dalszą drogę dawnego rozwoju politycznego ku Adrjatykowi. Geopolitycznie Czechosłowacja ma zatem trzy rozchodzące się drogi bez żadnego geograficznego związku: czeską, wiodącą do Drezna i Linzu, Morawsko-Śląską prowadzącą do Opola i Krakowa, i Słowacką, ściśle związaną z Budapesztem. Ma nadmiernie długą linię graniczną zupełnie otwartą na całym południu i półn.-wschodzie, zupełnie konwencjonalną i przypadkową, na pozorach różnicy narodowościowej ludności zbudowaną. Nie ma żadnej tradycji życia państwowego w sensie głębszej polityki od wieków.

Ma jednak ludzi zdolnych na czele i dąży do ogarnięcia rozbieżnych tendencji geopolitycznych swego układu przez użycie kategorii demopolitycznych, a wobec chwilowego powodzenia swych zabiegów tym mocniej utrwala się w postępowaniu, które mimo pozorów przeciwnych i frazesów przeciwnych jest *polityką tradycji starej Austrii*. Pamiętać bowiem zawsze trzeba dwa programowe aforyzmy Palackiego, o których Czesi dzisiejsi pragnęliby zapomnieć. „Gdyby Austria nie istniała, należałoby ją wynaleść”—to jedno, a drugie „Czesi są starsi od Austrii, istnieli przed nią, istnieć będą i po niej”,—z tem oczywiście zastrzeżeniem, że w pierwszym wypadku Austria jest pewnym wiecznym żywym symbolem, w drugim — rzeczywistością, która minęła.

WYCHOWANIE FIZYCZNE

(M. R.) SKĄD WZIAĆ PIENIĄDZE NA BUDOWĘ BOISK SPORTOWYCH

Zarówno w życiu politycznym jak i społecznym domagać się trzeba i walczyć o samodzielność sądów w ocenie zjawisk, a w szczególności przy wprowadzaniu w życie nowych zamierzeń. Organizacja ruchu sportowego u nas na brak takiej samodzielności myślowej właśnie choruje. Oglądamy się na wzory zagraniczne nie jak na szeregi pomysłów złych lub dobrych i pozatem indywidualnie słusznych, ale jak na trwałe kanony, których z miejsca nic ruszyć nie może. Tymczasem mylnym jest mniemanie, że ruch sportowy za granicami naszymi jest zdefiniowanym zjawiskiem życia społecznego. Wiemy tylko, że tam sport w sumie daje wyniki dodatnie i jest ważkim czynnikiem odrodzenia cywilizacyjnego ludzkości, wiemy natomiast, że nie wszędzie jest jednakowo

traktowany. Wszędzie spotyka się wiele zdań i dyskusyj w kwestjach sportowych. Anglikowi wystarcza fakt uprawiania sportu, jako rozrywki, a tylko ubocznie jako środek budzącego i rozwijającego energję i zdrowie. Francuzowi chodzi o odrodzenie słabnącej fizycznie rasy. Niemiec marzy o zastosowaniu sportu głównie do jego celów militarnych. Włoch o staro-greckiej i rzymskiej tradycji i t. d.

Nie wdając się tutaj w te kierunki i drogi, które z czasem rozwinać się same będą musiały, ale które, zaznaczam raz jeszcze, toną we mgłę dyskusji prowadzonej z punktów widzenia różnych ras, narodów, a nawet klas społecznych, chciałbym się zastanowić nad samą kwestją wspierania sportu, jako ruchu uznanego za dodatni objaw społeczny.

Wydaje mi się, że zbyt mało tutaj myślimy o istocie rzeczy, zajęci oderwanym i efektownym braniem udziału w wymianie zdań i organizacją dorażnych współzawodnictw nielicznych gwiazd sportowych. Sumy, które łoży państwo na wyprawy zagraniczne delegatów sportowych i zawodników, obrócone na budowę boisk dałyby już dziś niezmiernie wiele, dla podniesienia prawdziwego poziomu sportu mierzonego nie przeciętną kilkunastu ludzi. I oto nasuwa się konieczność samodzielności sądów w ocenie zjawisk sportowych.

Samodzielność taka zwróci uwagę na szczegóły, których chwilowo niedostrzegamy, — a więc na przykład zauważymy, że: Anglicy, którzy są pod względem ilości i przeciętnej jakości sportowców jednymi z pierwszych na świecie, przyjeżdżają na zjazdy sportowe bez zapła, zabierają głos stosunkowo mało, wyniki ich na Olimpiadach Wszechświatowych nie są imponujące, do Związków międzynarodowych sportowych mało należą, a tym samym pokazują dobitnie, że istoty sportu ten naród o starej i dobrej kulturze nie w tej szumnej jego propagandzie szuka.

Istotnie Anglicy główne swe wysiłki poświęcają na rozprzestrzenienie i ulepszenie sportu pod względem higienicznym estetycznym i moralnym.

Nasuwać się też refleksje, że czas by był, żebyśmy przestali udawać bogacza, hojnie dającego napiwki i obywatelącego się bez obiadu, czyli żebyśmy zaczęli umiejętnie rozdzielać środki pieniężne, rządowe i społeczne, co jest niezmiernie ważne dla przyszłości sportu u nas.

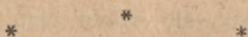
Musimy bowiem stwierdzić, że Anglikowi nie przyszło by nawet do głowy wydawać wielkie sumy na wyjazdy zagraniczne, czy tym podobne wydatki reprezentacyjne z chwilą, gdyby wiedział, że w Londynie jest *jedno* boisko sportowe o prymitywnych urządzeniach. Każdy też Anglik rozumie, że istotnym współzawodnictwem w sporcie międzynarodowym nie jest (przynajmniej chwilowo) współzawodnictwo w stadjonie, ale współzawodnictwo w budowaniu stadjonów i w ich urządzaniu. Tutaj dystansowanie Polski przez inne narody może być wstydem istotnie bolesnym.

K S I A Z K I

O „GENERAŁA BARCZA“

Szanowny Panie Redaktorze.

W kwietniowym numerze „Drogi“ pomieścił Pan sprawozdanie z powieści mojej p. t. „Generał Barcz“, podpisane przez K. L.-Krz-ego. Niniejszym proszę uprzejmie o łaskawe umieszczenie odpowiedzi, którą równocześnie załączam.



Przyjął się u nas już oddawna zwyczaj, że krytykowany autor nie broni się i nie odpowiada na ataki. Jest w tem dużo słuszności i wiele dumy.

Nie odpowiadam panu K. L.-Krz-emu na jego ataki „krytyczne“. Pozwalam sobie tylko odpowiedzieć na jeden zarzut natury osobistej, gdy krytyk mówi, iż z punktu widzenia tych wszystkich, których ja jako pisarz miałem zaszczyt opiewać, z punktu widzenia Herwinów, Lisów, Wyrwów, ze stanowiska poległych i żywych Piłsudczyków — Rasiński (postać z mojej powieści p. t. *Generał Barcz*) jest „objawem niemoralnym“. Przeszłość Kadena — pisze p. K. L.-Krz. — stopiona z Rasińskim w ostatnim rozdziale, to skutek niemoralnego stanowiska Juliusza Kadena-Bandrowskiego autora *Piłsudczyków*“. Na innem zaś miejscu: Jest on (Rasiński) zaprzeczeniem jednego z paru kamieni węgielnych tego co się składa na „morale“ *Piłsudczyków*“.

Rasiński—Kaden! Upoważniam „brakiem oszlifowania postaci Rasińskiego do najdalszych“ domysłów. Tak, panie K. L.-Krz.,—Rasiński w *Barczu* to ja! Ja, kapitan Wojska Polskiego, ongiś chorąży 5-go pp. Leg. Polskich, stary peowiak, który należał przecie do wszystkich spisków polskich do 1910-go roku i do najściślejszego spisku Analfabetów w 5 ym p. p. Legionów przeciw Niemcom,—bo to przecie, drogi K. L.-Krz., analfabeci „ciągnęli“ Piąty pułk a Piąty pułk ciągnął całe Legjony w awanturze o przysięgę... Ja, którym należał do spisku na krakowską twierdzę przeciw Austryakom i miałem potem jeszcze zaszczyt w dowództwie tejże twierdzy razem z najlepszymi warować w pełnem uzbrojeniu przeciw kochanemu generałowi Roji, gdyśmy nie wiedzieli, czy aby dość serca okaże i wielkości.

Mniejsza o twoją krytyczną gadaninę K. L.-Krz. i mniejsza o moje autorskie floresy, mniejsza o plotkę, którą sam snujesz koło *Barcza* na czterech kartkach drukowanej siekaninki, mniejsza o to, że Pycia cytujesz, jakoby równał mnie z Germanem i Ligockim, podczas gdy Pyć uroczyście mi oświadczył, że nic takiego nie mówił nigdy i że mi tego zaszczytu nie uczynił. Ale jeżeli zarzuca mi ktoś, iż w tem, z czego dumny będę do końca życia, co jako najdroższe szczęście przekazę moim synom; iż w tem, co wyższe jest nad sławę i miłość; —ale jeżeli zarzuca mi ktoś, iż w rycerskiej przyjaźni, zawartej podczas walk o wolność Ojczyzny zdrady się dopuściłem — to niech pozwoli, że odrzucimy maski autora, czy krytyka i że się rozmówimy twardym słowem prostoty i powagi!

Rasiński, tak, jak jest skomponowany w *Barczu* i sam *Barcz*, o którym nie śmiesz mówić, bo się boisz o niewygodne zatracać wzory i cały motek tych wojsowych intryg — nie jest zaprzeczeniem „morale“ *Piłsudczyków*. *Piłsudczycy* bowiem to nie gromada męczeńska, ani stado ofiarnych baranów, to ludzie mężni, chciwi czynu i walki, śmiertelni, z wszystkimi zaletami i wadami ludzi żywych. Słaby to *Piłsudczyk*, który ze swego obozu *Tabu* chce robić nietykalne, raczej kruchą klasztorną pachnący bigot, niż twórczy żołnierz.

Cała siła nasza i urok cały, rozpęd i młodość polegały i mam nadzieję dotąd polegają na tem, iż rozumiejąc swe cnoty, swe zalety, umieliśmy zawsze widzieć swe wady i grzechy. Nasze tęgie zdrowie na tem również polegało, że lepiąc niejednokrotnie rzeczy wielkie, widzieliśmy ile z nas, a nawet z naszej wartości moralnej,—tak kolego K. L.-Krz., z naszej osobistej wartości moralnej,—złożyć trzeba było w offerze.

Wszak chyba pamiętasz jeszcze, żeś nie podawał ręki i ekskomuniką

okładał wodzów, z których dłoni kiedyś później wyprężony na baczność order przyjmowałeś, czy też pochwały, czy rozkazy!

Wszak chyba pamiętasz, żeśmy miny musieli robić wesołe w obcych obrotach!

Dla sprawy,—jako że działo się w niewoli.

Ale pamiętasz chyba, że już nie w niewoli—ileż razy stawiałeś na baczność, tłumiąc pogardę w oczach! Dla sprawy,—dla jedności!

Tyle jednak zostało we mnie ze zwycięskiego Piłsudczyka, że chcę iść coraz dalej i coraz głębiej szukać. Zostało tyle, że kiedy nie jestem już w niewoli dążę za zbytkiem coraz wspanialszej wolności. Że śmiem pytaniu poddawać zysk, jaki ma wspólnota z uszczerbu osobistej wartości, oraz że rozważę poddaję stratę, jaką odczuwać może indywidualna wartość z korzyści wspólnoty.

Nie wiem, kto w tej okazji dalej idąc, lepiej się ceniom Herwinów, Wyrwów i Lisów zasłuży? Czy ten, który w walce o prawdę zatrzymał się na stopniu osiągniętym, czy ten, który ze zdobytej wyżyny pragnie się wspiąć na nową, jeszcze wyższą?...

Nie krzycz, gdy w pionki uderzają, że króla trafili! Ty właśnie sam nie nadużywaj Piłsudczyzny i nie wołaj, gdy się krytykuje metody figur luźnych, iż się oś centralną przełamało! Oraz gdy ciebie lub tobie podobnych boli, że Wódz boleje! Godzisz bowiem tym sposobem w najdroższe cele pracy Wódza, który wszystko kładzie w drugim i trzecim rzędzie za położoną w pierwszym budowę wartości moralnej i twórczej odpowiedzialności poszczególnego człowieka.

Czy też może zechcesz mnie przytłoczyć argumentem,—ze słuszność mam w zasadzie?... Ze w zasadzie warto rozważać problemat wolności człowieka, otoczonego ściskiem „ramami” danej organizacji zbiorowej,—lecz w praktycznym przebiegu naszych czasów, a już specjalnie wojska naszego kolizja ta nigdy nie zachodziła?!

Na to odpowiem, — ostrożnie przyjacielu z orzeczeniem, z wyrokami i z szybkim ich pisanem, czas bowiem w Polsce prędej bieży od pióra. Jeszcze farba z twej krytyki nie obeschła i kaszt może jeszcze nie rozrzucono, gdy oto istotniejsi dostojnicy od mego Barcza, powieściowym udaniem zdziałanego, z „ram” wyjść musieli w imię swych przekonań i godności swych idei—a przecie chyba na twą klątwę nie zasługują?...

Ostrożnie—z wynoszeniem schematu czy programu nad walkę i cierpienie poszczególnego człowieka! Więcej myśli nad tym ostatnim, a mniej żaru dla programów, — największy bowiem program Lisów, Wyrwów i Herwinów, — to prawda!

Jej wielkim, może smutnym cieniem przejęte są wszystkie stronicy Barcza, łącznie aż do „poszukiwania pewnej, sprzedajnej kanalii” w danym momencie na danym miejscu państwowego rozwoju. I to jest prawda.

Prawda w małości swej, czy nawet w brzydocie sto razy większa zawsze i moralniejsza od tych krytycznych miar, które na świadka wezmą majora Pycia, dokoła kapitana Rasińskiego grzebać będą pracownicy w plotkach i realiach, lecz nie odważą się imienia generałów wezwać na dokładną rozprawę.

A że ty, K. L.-Krz., o ile chodziło o mnie nie mogłeś zrozumieć, że musiał traktować ostrzejszą miarą, niż innych mlerzyłem... Żeś nie pojął, iż z innych modelei biorąc i pozy, że dla siebie pozę musiał wybrać najniekorzystniejszą, najmniej wdzięczną,—to już daruj... Pozostanie dla ciebie zagadką na zawsze, o ile dotychczas nie rozumniesz, że to sprawa smaku, dobrego wychowania, tonu. One to przecie,—wychowanie, ton,—jak tobie na czele kom-

panji iść, gdy do ognia idziesz—mnie każą pierwszemu stawać w ognisku zwierciadła, gdy innych na łukach tylko, lub zaledwie w promieniach rozmieściłem.

Tej metody, choć mnie przed nią ty sam bronić usiłujesz, nie oddam za palmy uczoności, gdybyś je miał do rozdania, ani za pioruny generalskie, od których stroni badawcza twoja plotka. Metodę tę bowiem uważam za najistotniejszy sprawdzian wspólnie odbytych trudów, walk, upokorzeń i za największy Los, jaki znalazłem na mogile naszych wspólnych przyjaciół, — Herwinów, Wyrwów i Lisów.

Juljusz Kaden-Bandrowski

Douglas Jerrold: NAUKI MAŁŻEŃSKIE PANI CAUDLE. Przekład z angielskiego Stefana Orlika. Nakładem Kazimierza Kotlarskiego, Lublin 1923.

(K. L. - Krz.) *Mrs Caudle's Curtain-Lectures* w przekładzie polskim, który się czyta gładko i przyjemnie. Język przekładu dowodzi, że „Varia“ *Skamandra* nie zajmą się nim, bo tłumacz włada słowem i piórem doskonale. Mam jednak wątpliwości, czy Stefan Orlik — to mężczyzna. Wydaje mi się, że to mądra kobieta. Mężczyzna — tak sobie wyobrażam — nie mógłby tej rzeczy tłumaczyć, albo powiedzmy ściślej: móc — mógłby, ale zaczawszy przekład, rzuciłby pracę po dwóch przetłumaczonych rozdziałach, ani myśląc wracać do swej pracy. Gdyby się znalazł taki człowiek mojej płci, któryby dokonał tej sztuki i przetłumaczył wszystkie nauki pani Caudle — to po ukończeniu przekładu, tegoż dnia oszalałby, i uznano by go za mężczyznę nienormalnego. Jeżeli zaś Stefan Orlik wbrew memu głębokiemu przekonaniu ośmiela się być mężczyzną—to chyba tylko dlatego, że to, co napisałem nie dotyczy go, bo jest wręcz wyjątkowym mężczyzną, czyli nienormalnym, a więc znowu na moje wychodzi.

Pani Caudle! Oddawna (Douglas Jerrold umarł w 1857 r.) Angielka ta jest postrachem i przestrogą. Dostyc powiedzieć, że aczkolwiek osoba jej kryje w sobie pożycia małżeńskiego problem, to jednak „człek myśli, jakimby tu zamknąć babie głębkę skoblem“. O tem się myśli przedewszystkiem, ale bez nadziejnje. Rozgadanej niewiasty nikt niczem nie ujmie. Najradykałniejszy środek i jednocześnie brzydki nie pomaga.

Pan Caudle, jak na Anglika przystało, był kupcem. Miał sklep z lalkami i zabawkami, w którym przez cały dzień sterczał. Wieczorem wracał do domu, zjadał kolację i kładł się do łóżka. Wtedy właśnie, jak przystało na kochającą żonę, zaczynała swoje pani Caudle. Z nieprzewzyciężonej potrzeby, a po wielu latach małżeństwa już z przyzwyczajenia poczyniała gadać. Gada i gada. Inny mąż na miejscu Caudla dobiłby żonę dwoma wystrzałami, aby się, biedaczka, nie męczyła, ale Hiob Caudle — nie. Ona gada i gada, a on słucha i słucha.

Przez długi szereg opisanych przez Jerrolda wieczorów, pani Caudle nie jest ani razu żoną, pan Caudle ani razu mężem. Ona, dobra gospodyni, jest obracającym się językiem, — on, poczciwy kupiec, jest uchem. Tylko humor angielski może z języka i ucha sklecić utwór wcale do rzeczy.

Zdarzyło się tak, że Pan Caudle postąpił szlachetnie i lekkomyślnie: pożyczył przyjacielowi pięć funtów. Wieczorem „żona mu wypruwa flaki“ na znany temat: „bo ty zawsze jesteś taki“!

Pani Caudle: „Szkoda że nie jesteś bogaczem, panie Caudle. Ciekawa rzecz, ktoby *tobie* pożyczył pięć funtów...? Mój Boże! coby to wszystko można mieć za pięć funtów!... Od trzech lai już marzę o czarnej atlasowej

sukni, w sam raz by te pięć funtów na nią starczyło. Ale tobie wszystko jedno co ja mam na sobie, zupełniewszystko jedno... Wszystkim dziewczętom potrzebne są kapelusze, a skąd je wziąć, doprawdy niewiem. Za połowę tych pięciu funtów, możnaby je kupić... Naturalnie, przecież są (dziewczęta) twoją rodziną... Jack dziś rano wybił wolantem szybę w swojej sypialni. Miałam właśnie posłać po szklarza, ale skoro wypożyczyłeś te pięć funtów, nie mogę sobie już na to pozwolić...“ Jack będzie spał przy oknie z wybitą szybą, zaziębi się i umrze. Pan Caudle jest wyrodnym ojcem i t. d. „I tak — *komentarz* Caudle — zdaniem mojej żony, ona—droga dusza! — nie może sprawić sobie atlasowej sukni, córki nie mogą dostać nowych kapeluszy, ranta za wodę musi pozostać niezapłacona, Jack nabawi się śmiertelnej choroby z powodu wybitej szyby, ubezpieczenie ogniowe zostanie przerwane, i wszyscy staniemy się pastwą groźnego żywiołu, nie pojedziemy do Margate i Karolina zstąpi do przedwczesnej mogiły, pies się wścieknie i pokąsa całą rodzinę, okiennica będzie stukała, sadze wiecznie będą leciały z komina, myszy nigdy nie pozwolą nam zmrużyć oka, złodzieje nieustannie będą się włamywali do domu, nasza droga Marysieńka na wieki pozostanie bezdomną i opuszczoną, i wiele innych klęsk spadnie na nas — a wszystko dlatego, że ja będę wiecznie rozpożyczał ludziom pięcio-funtówki”.

I co począć z taką panią Caudle? Na stu — pięćdziesięciu mężów powie: uciec od baby, czterdziestu dziewięciu poradzi wypędzić ją z domu na cztery wiatry, a ostatni i mądry, ufając w sprawiedliwość sędziów, zdecydował: struś! Łatwo sobie wyobrazić, w jaki podstępny sposób „pani Caudle *uważa*, że jej droga mateczka powinna by właściwie przenieść się do nich na stałe“. W „nauce“ XI pani Caudle chce poprostu sprowadzić panu Caudlowi do domu teściową na stałe. Rozdziałek ten ma zakończenie przepyszne.

Pani Caudle: „A gdyby ci kiedy wypadło wrócić nieco później do domu — rozumiem przecież, mój kochany, że to się od czasu do czasu zdarzyć musi; nie mogę przecież wymagać, byś ciągle przy kominku siedział, — droga mateczka chętnie by czuwała, by ci otworzyć. I zaręczam, że uczyniłaby to z całą gotowością. Ona jest taka pocziwa i taka przywiązana do ciebie!... Caudle! Nie śpisz przecież jeszcze? Co? Kochanie! Lepiej, żeby się do nas przeniosła? Co? Mówisz, że *nie*? Nie chcesz, by moja droga, kochana mateczka?...“

Pod żadnym pozorem.

Caudle, Cau— Cau—dle, Caudle...

„Tu—pisze pan Caudle—moja małżonka rozplakała się, a ja zasnąłem“.

Rzeczą najbardziej zastanawiającą jest to, że Caudle był zdrow, jak ryba, a pani Caudle po trzydziestu latach małżeńskiego pożycia umarła i, jak zapewnia Jerrold, została należycie pochowana. A zdawać się mogło, że będzie inaczej, iż małżonka któregoś wieczoru zagada męża na śmierć. Wróciwszy z pogrzebu, pan Caudle, jak zwykle spoczął w łóżku. Ale nie mógł zasnąć ani tego wieczoru, ani nocy następnych. „Słyszał bowiem wciąż głos małżonki nad uchem“. Caudle począł wątpić o swoim wdowieństwie. Straszna to rzecz taki bezcielesny głos! „Oto głos płynie z kotary łóżka, a oto z gzymsu nad nim, to z nowu z poduszki...“ „Okropna to rzecz, że jej język tak straszy“ mówił sobie biedny Hiob, rozmyślając mętnie o egzorcyzmach, albo przynajmniej o zasięgnięciu rady proboszcza.“

I dopiero gdy Caudle spisał nauki moralne swej żony, duch jej języka spoczął w spokoju. A te „Nauki moralne“ — to jeden z wzorów humorystyki angielskiej, to książka, która doczekała się wielu wydań i tłumaczeń. Nad

książką tą śmiały się całe pokolenia, darzyła ona mężów chwilami głębokiego zadowolenia, szczerzej satysfakcji, a nawet tryumfu. „Nauki moralne“ spolszczyła zapewne kobieta i mądra. Świadczy o tem wybór tłumaczenia i przedmowa, w której po garści informacji o autorze i jego książce czytamy: „Czasy się zmieniły. Nie jest już dziś kobieta ani „zaharowaną niewolnicą“, ani „gadaliwą sroczką“. Świadoma praw swych i obowiązków, stanęła obok mężczyzny, jako towarzyszka i pomocnica w ciężkiej walce o byt. Typy „Pani Caudle“ i „Biednego Hioba“ należą do przeszłości. A jednak! Coś mi tam złośliwy chochlik szeptem do ucha o „wiecznie kobiecem“ i „wiecznie męskim“, niezmiennem poprzez czasy i przestrzenie“. Tak! Książka ta jest arcyludzka, jak każdy płód prawdziwego humoru.

Myszę, że musi to być zapewne rzeczą przyjemną odczytywanie własnej żonie ustępów wybranych z nauk moralnych pani Caudle i dlatego mężom książkę tę przedewszystkiem polecam.

ALBO KOMEDJA OMYŁEK, ALBO POPROSTU KOMEDJA

(Z naszych stosunekczków literackich).

(K. L. - Krz.) Kurtyna w górę! Spójrzmy na scenę, rzućmy okiem na № 138 *Kurjera Poznańskiego* z dnia 21. VI • 1923. Jest tam artykułik p. t. *W lewo patrz!* — słów kilka o nowych modach w „Przeglądzie Warszawskim“ pióra (sm). Powiadam państwu: sto pociech! Jest to wywiad polityczny. Pan sm po stwierdzeniu, że dotąd nie było nikogo, kto by „poważnych redaktorów „Przeglądu Warszawskiego“ śmiał posądzać o uprawianie jakiegoś dosłownej „polityki“, o nieznaczne lewicowanie“, dochodzi do wniosku, iż ostatni numer tego miesięcznika „przekonywa dowodnie, że tak jest, że uczeni literaci przywdziewają coraz wyraźniej czerwoną barwę (słuchajcie! słuchajcie!) i coraz głośniej stroją lutnie (lutniel) i pióra po „peowiacku“. Sensacja! Zbiegowisko przy „Przeglądzie Warszawskim“. Co się stało?

— Chrzanowski i Brückner wstąpili do Polskiej Organizacji Wolności (P. O. W.)!

— Kleiner wydrukował studjum, oświadczając w przypisku, że wstąpi do P. P. S. i wystąpi na wiecu w sprawie ochrony lokatorów!

— Nie! To Adolf Chybiński ogłosił, że dotąd nie będzie nowej muzyki, dopóki obecny rząd nie ustąpi.

— Plotka! Prawda jest, że Stefan Kołaczkowski udowodnił w „Przegl. Warsz.“, że bez Piłsudskiego nie będzie Wyspiańskiego.

— Borowy wrócił z Łaryża i śpiewa w lokalu redakcji razem z Kadenem-Bandrowskim: „My I Brygada, strzelecka gromada“...

Nareszcie znalazł się p. sm, świadek naoczny, informator bezstronny i spokojny. Oto p. Leon Piwiński w „Ruchu literackim w czasopiśmie“ napisał:

„...W „Robotniku“ najgodniejszym uwagi jest religijny utwór poetycki p. Tekli Knoll - Wittigowej p. t. „Święta“. Autorka, natchniona faktem, który „sam Bóg odsłania na polskim kalendarzu“, że 18 i 19 marca przypadają „wielkie imiona — Józefa i Gabryjela, tego, który Polskę stworzył i tego, który za nią krew przelał“, ukazuje w pięknej i podniosłej wizji mistyczną gromadkę wiernych, klęczących „w smutnem błocie ulicy“ i modlących się w owe święta do „nieznanego Boga, który im dał Stworzyciela i Odkupiciela“, a którego oni proszą „gorąco o Oświeciciela“.

I nadomiar p. Piwiński napisał: „W zeszycie XXVII Skamandra najbardziej godną uwagi jest wstępna odezwa polityczna“, co pozwala panu *sm* dodać: „kto czytał wzmiankowany numer Skamandra, wie, że idzie tam o szerzenie kultu zamordowanego prezydenta Narutowicza, czyli, że kronikarz dziwnym zbiegiem okoliczności uważa za „godne uwagi“ ze stanowiska literackiego przedewszystkim to, co się odnosi do kryzysu „marszałkowskiego“, do zmierzchu piłsudczyzny i wyławia z apetytem z prasy wszystkie głosy, życziwe władzom ustępującym“.

Naprzód krakowski w № 145 przynosi ironiczną notatkę p. t. „Niesłychany „nietakt“ „Przeglądu warszawskiego“ w której czytamy, że istotnie wzmianka p. Piwińskiego o „Skamandrze“ „może zdyskwalifikować powagę „Przeglądu Warszawskiego“, bo skoro najwyższa powaga — chjena — orzekła, że(cci) należy nie zamordowanego, lecz mordercę — ten, kto pochwała inne zdanie jest warchołem, masonem, lewicowcem, lub zamaskowanym żydem“.

Mniejsza z tem, że wzmianka p. Piwińskiego o „Skamandrze“ jest zjadliwa. Kronikarz „Ruchu literackiego w czasopismach“, wspominając o zeszycie miesięcznika *poetyckiego* zaznacza, że „najgodniejszą uwagi“ jest w nim wyłącznie odezwa *polityczna*... Złośliwa ironja jest wyraźna. P. *sm*. węsząc lewicowców nie dostrzegł jej.

Ale najparadniejsze w tym wszystkim jest rzecz drobna, ale zasadnicza. Oto p. Leon Piwiński jest sympatykiem *narodowej demokracji*. *Kurjer Poznański* napadający na „Przeg. Warsz.“ z powodu kronik pisanych przez narodowego demokratę, a *Naprzód* broniący go... Sto pociech!

*

*

*

Skoro się zgadało o trafiającym celnie kulą w płot, panu *sm*. warto przytoczyć to co o poecie Stanisławie Maykowskim napisano w ostatnim zeszycie *Skamandra*. „Kampanja prowadzona przez p. Stanisława Maykowskiego przeciw Skamandrowi“ jest, pomijając już cały niewybredny jej poziom, tym śmieszniejsza, że p. Maykowski bardzo niedawno jeszcze ogłosił wiersz w naszym miesięczniku, wiersz nb. b. kiepski, który *wbrew opinii znacznej części komitetu redakcyjnego umieszczony był w piśmie poło tylko, aby tę sprawę w odpowiedniej chwili Maykowskiemu przypomnieć*... (podkreślenie moje). Podstęp redakcyjny ma też swój... poziom. Nie dziwiłbym się gdyby poza stałymi współpracownikami pisywały do „Skamandra“ wyłącznie dzieci, które się na podstępach nie znają. Nie grozi to „Skamandrowi“, bo wszyscy wiemy, że podobna wycieczka przeciwko p. Maykowskiemu jest omyłką „Skamandra“. Gentelmanowi przystoi szpada. Gdy chwyta przez pomyłkę za kłonicę lub nóż sprężynowy — rzuca tę broń, ale nigdy się nią nie chwali.

*

*

*

Słowo wileńskie przyniosło w № 128 artykuł wstępny p. t. „Generał Szeptycki“ o treści... wojskowo-literackiej. Chodzi o osobę Juljana Kadena Bandrowskiego, któremu, autor artykułu, p. *Cat*, odmawia za p. Grzymałę-Siedleckim talentu i przypisuje mordowanie składni polskiej. P. *Cat* nie pisze recenzji o „Generale Barczu“, lecz wypisał parę zdań podobnych: „Po drugie stara się p. Kaden swój styl uczynić możliwie najbardziej prostackim i ordynarnym, wyszukując nie zawsze odpowiednie określenia i porównania. Pan Kaden nie jest pisarzem ściśle pornograficznym. Jego prostactwo i chamstwo nie zasługuje nawet na skromne skądikąd miano pornografji. Taki „Generał Barcz“ czyni wrażenie powieści pisanej z głową wetkniętą w muszlę klozetową.“ Zdaniem „Słowa“ należy Kadena-Bandrowskiego z wojska wyrzucić, „Nigdzie

oficerowie sztabu generalnego nie mają prawa pisywać paszkwili o własnej armji. W każdej innej armji, nawet republikańskiej, taki oficer w przeciągu 24 godzin musiałby zdjąć mundur wojskowy. General Sosnkowski usuwał z armji jednostki wojskowe, pozwalał natomiast na wydawanie podobnych powieści. Musi się to skończyć!.

Niech się „Słowo“ wileńskie dowie, że to zależy nie od ministrów, lecz od dobrej woli pisarzy polskich. Ani jenerał Sosnkowski, ani jenerał Szeptycki, ani wogóle żaden minister spraw wojskowych nie może pisarzowi polskiemu, Kadenowi-Bandrowskiemu, niczego zabronić i z wojska go wyrzucać dla tej prostej przyczyny, że Kaden-Bandrowski, jako oficer rezerwy, jest osobą cywilną. Z tego powodu cały artykuł „Słowa“ nawet w ustępach przyzwoitych jest śmieszny. Jeżeli się pisze nie o powieści, lecz o osobie jej autora nie wolno popełniać takich pociesznych omyłek biograficznych. Autor artykułu w „Słowie“, którego święte oburzenie jest komiczne, powinien z tem oburzeniem szybko, szybko biec na Baksztę w myśl dosadnego powiedzenia wileńskiego.

Kurtyna w dół!

ADMINISTRACJA

prosi o natychmiastowe uiszczenie przedpłaty
w celu uregulowania nakładu.

Płacący za kwartał II po 1 lipca uiszczą kwotę 25,000 M.

Pismo wychodzi 1-go każdego miesiąca.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI, Szpitalna 12 m. 29, Telef. 175-34

KONTO POCZTOWE 518.

Godziny urzędowe Administracji: od 10 — 3-ciej.

„ „ Redakcji: *poniedziałki, środy i piątki* od 12 — 1-ej

ZALICZKA NA PRENUMERATĘ *kwartalną* 25,000 mk.

W razie zmiany warunków wydawniczych administracja zwróci się o wyrównanie.

CENA NUMERU 10000 mk.

Wydawca: Jan Dąbkowicz

Redaktor: Adam Skwarczyński

„Drukarnia Krajowa“ (W. Krawczyński i E. Egert), Warszawa, Żelazna 89.

CZYTAJCIE!

PRENUMERUJCIE!

ROZPOWSZECHNIAJCIE!

ORGAN STOWARZYSZENIA „ZWIĄZEK STRZELECKI“

„STRZELEC”

**CZASOPISMO POŚWIĘCONE IDEI WYCHOWANIA
I WYSZKOLENIA ŻOŁNIERZA-OBYWATEŁA.**

Prenumerata kwartalna mk. 6000, numer pojedynczy mk. 1000

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

WARSZAWA, AL. JEROZOLIMSKIE 27 m. 3.

702433 20
18.11.80

„DROGA”

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

Chce być organem pracy umysłowej dla budowania

NOWEJ POLSKI:

rozważania zagadnień państwowych, narodowych i społecznych.

Zamieszcza **artykuły** z dziedziny ideologii narodowej, polityki, życia społecznego, zagadnień gospodarczych, oświatowo-kulturalnych, literackich, artystycznych—tak Polski jak i zagranicą.

Prowadzi stałe **przeglądy** życia politycznego i parlamentarnego, spraw zagranicznych, życia ekonomicznego, pracy organizacji społecznych, teatru, muzyki, plastyki, wychowania fizycznego, ruchu wydawniczego i t. d.

Redagowanie poszczególnych działów, względnie

stałe współpracownictwo przyrzekli:

Stefan Boguszewski	Kazimierz Kosiński	Bronisław Siwik
Piotr Borkowski	Stanisław Krawczyk	Adam Skwarczyński
Wacław Fabierkiewicz	Karol L. Krzewski	Stefan Śledziński
J. Grabiec	Stanisława Kuszelewska	Artur Śliwiński
Stanisław Guliński	Antoni Länger	Lesław J. Słoboda
Marceli Handelsman	Wacław Lipiński	Michał Sokolnicki
Tadeusz Hołowko	Adam Lisiewicz	Stanisław Stempowski
Wilam Horzyca	Anna Minkowska	Andrzej Strug
Piotr Hulka-Laskowski	Anatol Minkowski	Tadeusz Święcicki
Juljan Huzarski	Miecz. Niedziałkowski	Kazimierz Świtalski
Wacław Januszewski	Bronisława Ostrowska	Stanisław Szeller
Janusz Jędrzejewicz	Romuald Petrykowski	Wacław Szmit
Marja Jędrzejewiczowa	Bronisław Pieracki	Stanisław Thugutt
Jul. Kaden-Bandrowski	Hanna Pohoska	Marjan Uzdowski
Kazimierz Kierzkowski	Jan Pohoski	Stanisław Vincenz
Emil Kipa	Juljan Poniatowski	Leon Wasilewski
Marjan Klott	Stanisław Posner	Aleksander Wielhorski
Adam Koc	Tadeusz Różycki	Edward Wittig
Henryk Kołodziejski	Stanisław Siedlecki	Wład. Zawistowski
	Wacław Sieroszewski	

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Szpitalna 12, m. 29.**

„Drukarnia Krajowa” (W. Krawczyński i E. Egert), Warszawa, Żelazna 89, tel. 188-70.